

Reassort 1970

„ORZEŁ BIAŁY“  
(White Eagle)  
(L'Aigle Blanc)

Avril 1970

Price 4/-

Cena 4/-

\$ 0.50; 2.70 F.



# SYRENA

*Polska walcząca o wolność*

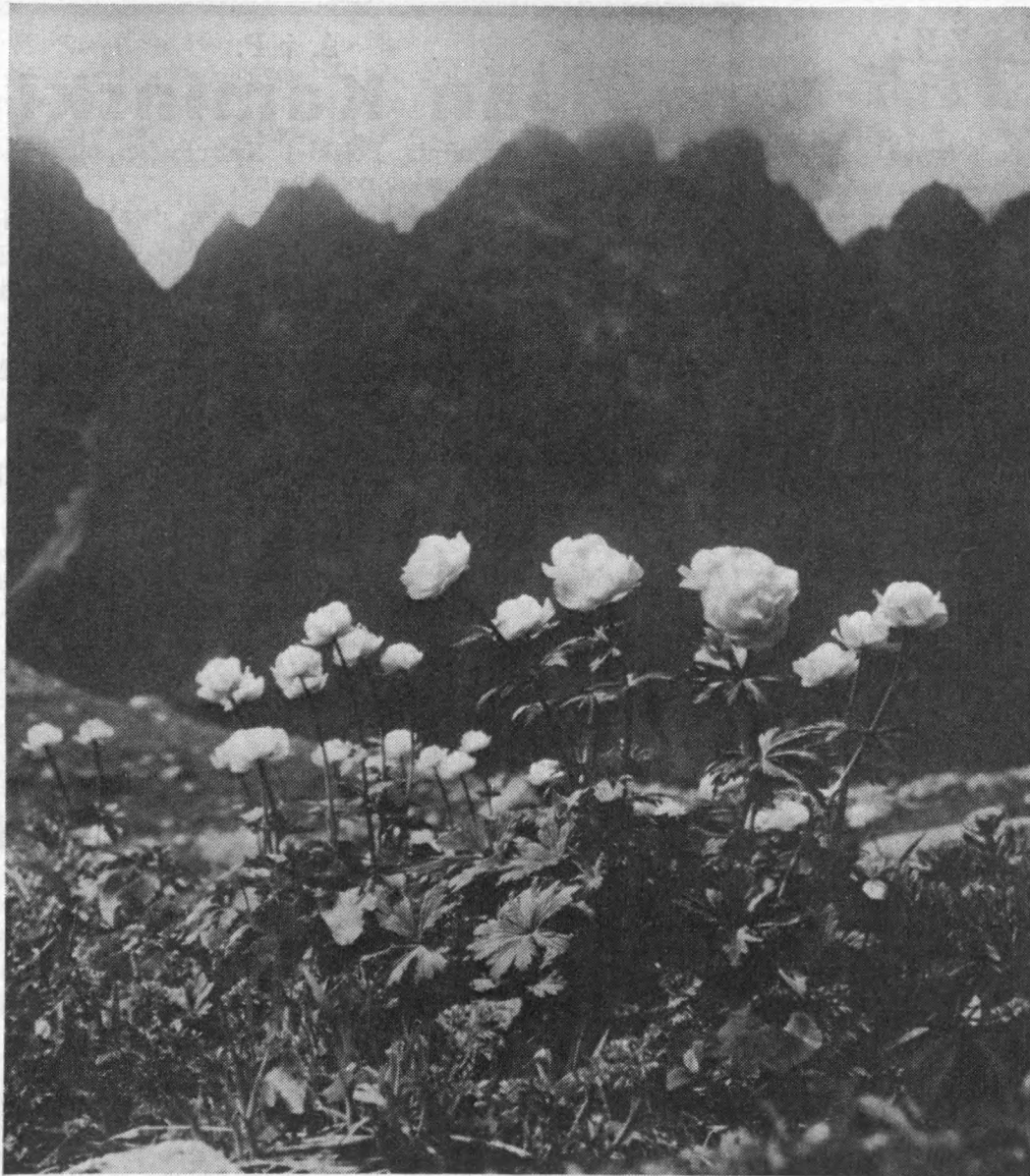
MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM

**ORZEŁ BIAŁY**

KWIECIEŃ

1970

Nr 69/1216



WIOSNA W TATRACH

FP 2188

# „ORZEŁ BIAŁY“ droższy o 6 pensów

W związku z ogólną podwyżką cen papieru i druku zmuszeni jesteśmy z dniem 1 kwietnia 1970 r. podnieść cenę pojedynczego numeru pisma o 6d., co w stosunku rocznym wyniesie o 6 szylingów więcej. Podwyżka nie dotyczy USA, Kanady, Australii i Nowej Zelandii. Prenumeraty opłacone z góry nie podlegają dopłacie. Mimo podwyżki „ORZEŁ BIAŁY“ będzie w dalszym ciągu najtańszym polskim pismem tego typu na emigracji.

## NOWA TARYFA PRENUMERATY:

	£	\$	Fr. franc.	Fr. Szwajc.	Fr. Belg.	DM	Liry włoskie
kwartalnie:	0.12.0	2.00	8.00	6.00	70.00	5.00	900
półrocznie:	1. 4.0	4.00	16.00	12.00	140.00	10.00	1.800
rocznie:	2. 8.0	8.00	32.00	24.00	280.00	20.00	3.600

## W NUMERZE:

A. C.: Katyń	1
T. Podgórski: Rok leninowski rokiem bezrobocia	2
F. Chrzanowski: Polityka i dobre manierę	4
A. Stamborowski: Organizacja sta- nowa a wolność	6
M. Tomkiewicz: Dzień w życiu Felixsa Topolskiego	8
F. Goldschlag: Kreoni i Antygony	12
K. Evans: Przez okno innego świata	14
K. Brzozowska: Książka o wojnie wytoczonej człowieczeństwu	16
A. J. Dąbrowski: Wspomnienia ułana-grenadiera	18
Kage: Przegląd spraw wojskowych	20
A. Szachnowski: Łowca syren	21
J. Korczak: Chopin nieśmiertelny	24
A. Vouaudart: Aldona	28
Z życia polskiego	30
M. T.: Zjazd Polek w W. Brytanii Uchwały Zjazdu Polek	32 33
Zjazd Zjednoczenia Polskie- go w W. Brytanii	34
J. Ostrowski: Pokaz Teatru Sztuk Czytanych	36
W. Stefański: Jeszcze się taki nie urodził...	37
J. Ostr.: Notatnik kulturalny	38
L. B.: Śp. Stefan Borkowski	40

Ś. † P.

## Jan Kamiński

prezes Stowarzyszenia Polskiej Kultury w Austrii, zmarł w Wiedniu i tamże został pochowany.

Był gorliwym Polakiem, wzorowym działaczem społecznym i człowiekiem wielkich zalet charakteru.

**Stowarzyszenie Polskich Kombatantów  
Federacja Światowa**

## IDEALNY PODAREK DLA NASZYCH NASTOLATKÓW

Niezwykle ciekawa i barwna opowieść o słynnym w historii 2-go Korpusu  
Polskiego niedźwiadku:

W. A. LASOCKI

## W O J T E K

spod

## MONTE CASSINO

z ilustracjami Ireny Ludwig

Cena: 12/6

Zamówienia przyjmuje:

KSIEGARNIA S.P.K. — 20, QUEENS GATE TERRACE,  
LONDON, S.W. 7.

## LISTY DO REDAKCJI

### DYSKUSJA O OKUPACJI

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z moim artykułem pt.  
„Okupacja polityczna“, wydrukowanym  
w marcowym n-rze „Orla Białego“,

pragnę zwrócić uwagę na polemikę, któ-  
ra miała miejsce pomiędzy Prof.  
Stahlem i p. Franciszkiem Miszczakiem  
na zebraniu Związku Dziennikarzy (na  
którym nie byłem, ale znam jego prze-  
bieg z opowiadania uczestników).

Prof. Stahl powiedział m.i. że sam

(Dokończenie na 3-ej stronie okładki)



Mija właśnie 30 lat od owej daty tragicznej, gdy 15.000 oficerów polskich zamordowano na rozkaz Stalina, Polacy w całym świecie kornie chyłą głowy w hołdzie dla męki i śmierci niewinnych swych rodaków, ofiar czynu, którego bestialstwo przekracza wszelkie granice wyobraźni, — nawet te, jakie wiązano z systemem sowieckim. Albowiem, istotnie, rzadko kiedy w historii miały miejsce zbrodnie tak straszliwe, przeczące wszelkim prawom boskim i ludzkim. Była to rzecz, która nawet na tle naszej okrutnej epoki wydać się musi najgorszym upodleniem, do jakiego zdolne są potwory, niesłusznie zwane ludźmi. Co powoduje, że Katyń jest zbrodnią nad zbrodniami?

Na wojnie ludzie umierają — to rzecz zwykła. Żołnierz oddaje swe życie w walce, a jego gotowość do umierania jest tak zdeterminowana jak wola narodu, żeby żyć. Ale przecież w chwili, gdy kwiat wojska polskiego był na zimno mordowany dla rachuby politycznej azjatyckiego satrapy, wtedy — w owej chwili, gdy z bezbronnych więźniów zrobiono kopaczy własnych grobów, w które po tym strąciły ich pociski katów — w owym momencie straszliwym oficerowie ci nie byli już w stanie walki; byli jeńcami wojennymi... Należała się im opieka prawa międzynarodowego i jakaś zwykła, ludzka troska zwycięzcy o los pokonanych. Tak przedstawia się rzecz w świetle prawa i moralności. Ale właśnie o to chodzi, że na tej „niehumanitarnej ziemi“ nie znalazło się wtedy ani jedno ludzkie serce wśród tych, którzy tę zbrodnię uplanowali i ku wiecznej ich hańbie sprawnie zorganizowali.

Wspominając tę chwilę, której tragizmu nie zdoła wyrazić żadne słowo, my, byli żołnierze polscy, obchodzimy tę najsmutniejszą rocznicę nie dla rutyny historycznej, ale przeżywamy Katyń wciąż na nowo i póki żyć będziemy serca nasze i myśli kierować się będą w wiernym wspomnieniu ku tym, którzy tam zginęli, i ku tym, których wtedy pozbawiono mężów, synów, ojców i braci.

Nie będziemy tu opisywali szczegółów ludobójczego przestępstwa:



# ORZEŁ BIAŁY

*Polska walcząca o wolność*

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM

Nr 69/1216

KWIECIEŃ 1970

Rok XXX

## KATYŃ

to wszystko było już bowiem wielokrotnie powiedziane i znane jest dziś nie tylko Polakom, ale całemu światu. Ale obchodząc jeszcze raz tę rocznicę i jeszcze raz przeżywając ból i smutek i gniew, które nami władają, chcemy tu zwrócić uwagę na niektóre tylko szczególne aspekty tej sprawy.

Pierwszą cechą ohydy tej zbrodni jest, oczywiście, samo jej uzasadnienie przez sowieckich oprawców. Wychożą oni z założenia, że motywy klasowe determinują postępowanie człowieka. Chodziło im więc po prostu, o to, żeby ci oficerowie nie mogli już więcej służyć „burżuazyjnemu“ państwu polskiemu. Stalin był konsekwentny: chciał także zamordować po wojnie 50.000 oficerów niemieckich, którzy znaleźli się w sowieckiej niewoli. Zachodni alianci odrzucili ten „plan“. Nie było, niestety, nikogo, kto miałby możliwość przeciwstawienia się podobnej zbrodni, dokonanej na Polsce, a zarazem na — ludzkości.

Drugim momentem ohydy, przeczącym wszelkim zasadom elementarnej moralności ludzkiej, był fakt, że przedstawiciele Sowietów zasiadali w Trybunale Norymberskim i sędzieli swych byłych sojuszników hitlerowskich — zamiast żeby z tymi zbrodniarzami wspólnie zasiadać na ławie oskarżonych. Świat zachodni, w imię błędnych rachub politycznych, tolerował to odwrócenie naturalnych ról, dopuścił katów do roli sędziów, a uczciwi sędziowie angielscy i amerykańscy kolegowali ze zbrodniarzami i wspólnie z nimi

wymierzali tzw. sprawiedliwość. Ten fakt czyni sprawę katyńską czymś bez precedensu. Bo chyba nigdy w historii kultura ludzka tj. kultura wynikająca z poczucia prawa, nie stoczyła się jeszcze tak nisko.

Trzecim elementem ohydy moralnej, związanej ze sprawą Katynia, było, jest i pozostanie to głuche milczenie oficjalne, które na ten temat panuje w PRL. Ci, którzy obecnie rządzą Polską, wiedzą dobrze, kto jest w tym wypadku mordercą. Ale polityka rządu, który swe istnienie zawdzięcza Związkowi Sowieckiemu, niełatwo może się zdecydować na powiedzenie prawdy. Mógł Chruszczew potępić Stalina za różne jego zbrodnie, ale neo-stalinowskie sługi nie są w stanie zdobyć się nawet na to, na co zdobył się Chruszczew; choć i on przecież nie był człowiekiem, kierującym się zasadami moralnymi. Ale przynajmniej zrozumiął, że w jakimś minimalnym bodajże stopniu trzeba dać wyraz prawdzie w imię interesów politycznych. Było wiele takich sytuacji w okresie powojennym, w których rząd PRL mógł sobie pozwolić na oficjalne uznanie winy Stalina w tej sprawie, sytuacji w których same Sowiety nie miałyby o to żadnej pretensji do warszawskich czynników oficjalnych. A jednak czynniki te nie zdobyły się na odwagę stwierdzenia ze swej strony tego, co cały kraj i cały świat i tak zresztą wiedzą. Sługa nie ośmielił się zastosować metody swego pana. Tu ujawnia się nie tylko brak do-

statecznych bodźców moralnych administracji warszawskiej, ale także jej głupota polityczna. Bo — podkreślmy jeszcze raz — i tak cały naród polski zna prawdę i zna winowajcę.

Gdy kiedyś przyjdzie godzina porachunku, władcy warszawscy zrozumieją, że tłamszenie przez nich prawdy o Katyniu było jednym z gwoździ do ich trumny. Wówczas rząd Wolnej Polski uczci pamięć tych, którzy zginęli śmiercią męczeńską bez winy. A. C.

—W raporcie Nr. 2430, Drugiej Sesji 82-go Kongresu Stanów Zjednoczonych pt. „Masakra w lesie katyńskim“, datowanym dnia 2 lipca 1952, znajdujemy sprawozdanie „Komisji do Zbadania Faktów, Dowodów i Okoliczności Zbrodni Katyńskiej“. W konkluzjach tego raportu znajdujemy m.in. stwierdzenia następujące:

„Komisja stwierdza, jednomyślnie i bez żadnych wątpliwości, że sowieckie NKWD popełniło masową zbrodnię na oficerach polskich i przywódcach intelektualnych w lesie katyńskim blisko Smoleńska, w Rosji“. Dalej Komisja stwierdza, że długotrwałe i wszechstronne jej badania wykazują, iż „Rosja jest bezpośrednio odpowiedzialna za masakrę w Katyniu“ i, że „w toku dochodzeń nie było nawet najmniejszego dowodu, który wskazywałby na winę jakiegokolwiek innego narodu za tę zbrodnię międzynarodową“. Stwierdzone zostało, że około 15.000 polskich jeńców wojennych internowanych w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie zniknęło, z wyjątkiem tylko 400, którzy ocalili. Wreszcie cytowany dokument obszernie charakteryzuje zachowanie się przedstawicieli Sowietów, którzy nie okazali władzom amerykańskim żadnej pomocy w ustaleniu prawdy, a przeciwnie ustalenie to utrudniał wszelkimi możliwymi sposobami. W tym postępowaniu władz sowieckich leży dodatkowe potwierdzenie ich winy.

TADEUSZ PODGÓRSKI

## ROK LENINOWSKI

**P**ROKLAMOWANY przez komunistów rokiem leninowskim, rok 1970, na długo zostanie Polakom w pamięci. Nie stanie się to jednak za przyczyną niezliczonych, odgórnie reżyserowanych i narzucanych społeczeństwu uroczystości rocznicowych. Realizacja leninowskiej koncepcji dyktatury aparaczyków nie przemawiała i nie przemawia Polakom do przekonania. Nie ma więc w naszym kraju klimatu na hołdy dla wodza rewolucji bolszewickiej. Ale rok leninowski, jak już nadmieniałem, długo Polacy zapamiętają.

Co o tym zadecyduje?

### WIDMO BEZROBOCIA

Zadecyduje aktualna, niezmiernie ciężka sytuacja gospodarcza naszego kraju, któremu w roku leninowskim — 1970 — pod rządami spadkobierców leninowsko-stalinowskich koncepcji grozi widmo bezrobocia. Jest to bowiem rok — czego przywódca PZPR ukryć już nie potrafią — groźnej stagnacji gospodarczej i związanych z nią wielkich rozczarowań społecznych. Dla przeciętnego obywatela PRL, a już zwłaszcza dla zwykłych ludzi pracy, będzie to rok dotkliwych ograniczeń. Znosi się na to, że i tak już niezmiernie niska stopa życiowa rodzin robotniczych i urzędniczych będzie co najmniej zamrożona, a nie można wykluczyć jej pogorszenia. Poza tym ludzie w Polsce zapamiętają ten rok jako okres dokuczliwych szykan administracyjnych na odcinku zatrudnienia i polityki wynagrodzeń. Co gorzej, rok 1970 zapowiada się dla setek tysięcy polskich robotników i pracowników niektórych specjalności widmem bezrobocia, które w takich rozmiarach dawno Polski nie nawiedzało.

Dlatego nie jest przypadkiem, że na listopadowym IV plenum KC PZPR załatwiano jednocześnie sprawę obchodów leninowskich i kłopoty związane z wyraźnym już załamaniem się obecnego planu pięcioletniego. O Leninie mówił sekretarz KC — Jan Szydłak. O trudnościach

związanych z wykonaniem planu inny, ważniejszy od niego, sekretarz KC — Bolesław Jaszczyk.

I właśnie to drugie wystąpienie oraz związane z nim uchwały zdecydowały, że ostatni rok obecnej pięcioletki, rok 1970, proklamowany leninowskim, da się Polakom dotkliwie we znaki.

### ZATAJONA WYPOWIEDŹ GOMUŁKI

W jak ciężki okres wchodzi obecnie nasz kraj, najwymowniej świadczy zatajenie pełnego tekstu przemówienia Gomułki na zamknięcie obrad IV plenum KC. Ze znacznym opóźnieniem ogłoszono z tej wypowiedzi tylko ocenzone fragmenty. Jednak i z tego okrojonego tekstu przebija gorzka dla komunistów prawda, że pod ich rządami musi się załamać każdy plan gospodarczy. Faktycznie bowiem listopadowe przemówienie Gomułki potwierdziło, że katastrofalne załamanie planu dotyczy nie tylko programu inwestycji (co było wiadome już po II plenum KC PZPR z kwietnia zeszłego roku). Realizacja planu zawiodła również na odcinku eksportu — czego nie da się w żaden sposób załatać (chyba pożyczkami zagranicznymi i stąd w dużej mierze ta dość niespodziewana zmiana kursu politycznego w stosunku do Bonn). Nie wykonaną także zadań w dziedzinie zaopatrzenia rynku wewnętrznego i usprawnienia procesu produkcji, co w konsekwencji pociągnęło za sobą znaczny wzrost cen i zaprzepaszczenie nadziei na poprawę stopy życiowej ludności.

Ale to są rzeczy znane, których można się doczytać, najczęściej pośrednio, a czasem nawet bezpośrednio, w prasie krajowej. W rzeczywistości jednak przemówienie Gomułki na IV plenum stanowiło zaskoczenie nawet dla centralnego aktywu partii, gdyż był to jeden wielki lament, świadczący, że wszystko nawaliło i ostatnią deską ratunku jest przykręcenie śruby administracyjnego nacisku oraz obniżenie ogólnej stopy życiowej.



# ROKIEM BEZROBOCIA

## KONSEKWENCJE IV PLENUM KC

Uchwały PZPR-owskiej wierchu-  
szki partyjnej poszły więc po linii  
oszczędności i ograniczeń. Nakazano  
drastyczne cięcia w planie gospodar-  
czym na rok 1970, w pierwszym rze-  
dzie w dziedzinie spożycia zbioro-  
wego i siły nabywczej społeczeń-  
stwa. Stąd właśnie wzięła się gwał-  
towna i do ostatniej chwili niespo-  
dziewana redukcja programu zatrud-  
nienia. Przysporzy to Polsce w tym  
roku co najmniej 140 tysięcy bezro-  
botnych, gdyż pierwotny plan prze-  
widywał nowe miejsca pracy dla po-  
nad 320 tysięcy ludzi, gdy korekta  
planu ogłoszona i uchwalona przez  
posłuszny sejm w grudniu 1969 r.  
mówi już tylko oprzyrósacie zatrud-  
nienia w wysokości 184 tysięcy  
osób. Nie trzeba wyliczać, że nie  
pokrywa to zapotrzebowania na pra-  
cę ze strony wchodzącego na rynek  
pracy wyżu demograficznego, nie  
mówiąc już, że oznacza natychmia-  
stowe zahamowanie przyrostu za-  
trudnienia kobiet, który w ostatnich  
latach decydował o nikłej zresztą  
poprawie warunków bytowych mas  
robotniczych.

Poza tym utrzymano wcześniejsze  
już decyzje w sprawie zamrożenia  
szeregu rozpoczętych już inwestycji  
przemysłowych i zarządzono szereg  
dalszych oszczędności zarówno w tej  
dziedzinie, jak też planowanym za-  
opatrzeniu rynku wewnętrznego oraz  
świadczeniach i usługach na rzecz  
społeczeństwa. Znaczący to, że z chu-  
dych lat obecnej pięcioletki rok 1970  
będzie najchudszy.

### TAJEMNICZY

#### LIST BIURA POLITYCZNEGO KC

Wyrazem rozpaczliwej sytuacji  
ekonomicznej i bezradności admini-  
stracyjnej aparatu rządzącego jest  
specjalny list Biura Politycznego  
KC PZPR rozesłany w połowie sty-  
cznia do aktywu centralnego i orga-  
nizacji partyjnych. Jest to posunię-  
cie niezwykle, dotychczas w takiej  
tajemniczej formie jeszcze nie prak-  
tykowane, gdyż treść listu zatajono  
całkowicie przed społeczeństwem.  
Nie jest nawet pewne czy podano ją

do wiadomości wszystkich członków  
partii. Wprawdzie z dwutygodnio-  
wym opóźnieniem prasa partyjna  
podała, że pogłoski o kursowaniu  
listu są prawdziwe i nadmieniła, że  
toczy się nad nim dyskusja w zakła-  
dowych organizacjach partyjnych,  
lecz nie wyjaśniono czy odbywa się  
to na zebraniach otwartych dla  
wszystkich członków PZPR czy tyl-  
ko na konwentykłach szczupłych ze-  
społów komitetów partyjnych czy  
nawet — być może — jedynie ich  
egzekutyw. Wiadomo zresztą po-  
wszechnie, że góra komunistyczna w  
Polsce nie ma wcale zaufania do wła-  
snych dołów partyjnych. Faktem  
jest także, iż prasa wzmiankując o  
tym liście podkreśla jego rzekomą  
ważność i podaje, że dotyczy zaga-  
dnień gospodarczych, ale — przynaj-  
mniej do połowy lutego — żadne  
z pism nie przytoczyło chociażby  
jednego zdania z tego rzekomo tak  
postawowego dokumentu, który po-  
ucza jak należy wybrnąć z obecnych  
kłopotów.

Jednym słowem, wszystko ma być  
załatwiane po „ekonomiczku“ pod  
batem surowej dyscypliny admini-  
stracyjnej i pod okiem aparaczyków  
powolnych kierownictwu „bonzów“  
— jak ich nazywają robotnicy z  
Biura Politycznego KC, gdyż spo-  
łeczeństwo uznano za niegodne za-  
ufania.

#### O CZYM JUŻ JEDNAK WIADOMO?

Ale tajemnic dotyczących milio-  
nów ludzi długo ukryć się nie da.  
Taki tajemnicie szybko przeciekają.  
Nie dało się więc ukryć, chociaż  
ciągle nie ogłoszono tego w formie  
oficjalnej — że list Biura Politycz-  
nego KC zapowiada kategorycznie  
rychłe zwolnienie z pracy w mniej  
wydajnych zakładach 200 tysięcy  
pracowników. A więc znowu obni-  
żenie siły nabywczej społeczeństwa  
przez dalsze powiększanie planowa-  
nego bezrobocia. Wprawdzie według  
ogólnikowych zapewnień listu zwol-  
nienia te mają być przejściowe, gdyż  
mówi się o przeszkoleniu zwalnia-  
nych do innych zawodów, to jednak  
tylko pozór. W rzeczywistości, po-

większy to na dłużej i tak już po-  
kazaną armię bezrobotnych. Nad-  
mienmy tu od razu, że stałe struktu-  
ralne bezrobocie istniejące w słabiej  
zagospodarowanych rejonach kraju  
wynosiło ostatnio według szacunków  
dobrze zorientowanych ekonomistów  
około 300 tysięcy osób. Brak nowych  
miejsc do pracy dla młodzieży z wy-  
żu demograficznego powiększy je w  
tym roku o dalsze 140 tysięcy — bo  
tak zaplanowano nową wersję za-  
trudnienia, a raczej planowanego  
bezrobocia. Jeśli doliczymy do tego  
jeszcze zwolnienia zarządzane sty-  
czniowym listem Biura Politycznego  
KC, ogólne bezrobocie osiągnie  
pod koniec tego roku ponad 600 ty-  
sięcy ludzi!

Groźna to liczba, której lekcewa-  
żyć nie wolno!

Najwidoczniej zdaje sobie z tego  
sprawę także i Gomułka. List Biura  
Politycznego KC zawiera bowiem  
również zarządzenie w sprawie spe-  
cjalnych zasiłków od bezrobocia dla  
tej ostatniej kategorii osób przewi-  
dzianych w najbliższym czasie do  
zwolnienia z pracy. Zapomoga dla  
nich ma wynosić po 700 zł. miesię-  
cznie. Nie wyjaśniono tylko, jak mo-  
żna dziś utrzymać w Polsce rodzinę  
za te 700 zł. na miesiąc, gdyż licząc  
tzw. kursem PKO jest to odpowie-  
dnik mniej więcej £4.

#### PIERWSZE WIADOMOŚCI O PROTESTACH ROBOTNIKÓW

Okazuje się jednak, że nowa  
„akcja R“, podobna do tej z r. 1963,  
kiedy to załamał się poprzedni plan  
pięcioletni i wyrzucenie na bruk bez  
jakiegokolwiek zaopatrzenia około  
300 tysięcy ludzi — przebrało miarę  
cierpliwości robotników. Jak już sły-  
chać, po całym kraju rozlega się  
groźny dla partii pomruk niezado-  
wolenia załóg produkcyjnych. Po-  
wtarzają się coraz częściej wiado-  
mości, że w szeregu ośrodków prze-  
mysłowych doszło na tym tle — oraz  
na tle złego zaopatrzenia w żywność  
— do krótkotrwałych, protestacyj-  
nych strajków robotniczych. Naj-  
większe wrzenie rejestrują zakłady  
przemysłu mechanicznego oraz włó-  
kienniczego. Znalazło to nawet po-  
twierdzenie w przebiegu styczni-  
owego plenum Zarządu Głównego  
Związku Włóknarzy. Przyparta do  
muru przez delegatów z okręgów  
przewodnicząca tego związku, Bar-

bara Natorska, musiała przyznać, że odgórne, administracyjne cięcia w zatrudnieniu mocno robotników zaniepokoiły, a w wielu wypadkach doprowadziły do otwartych konfliktów i stanowczych protestów. Między innymi, stwierdzono na tym zebraniu, że realizacja zarządzeń administracyjnych w sprawie przeprowadzenia masowej redukcji pracowników doprowadziła do szeregu ostrych spięć, gdyż cała ta akcja okazała się nieprzemysłana. Wymienia się przy tym nie tylko najważniejszy okręg łódzki, lecz również okręg wrocławski i krakowski.

Tak więc, od razu na początku roku, proklamowanego leninowskim doszło do ostrych spięć między partią i robotnikami przy czym ma to miejsce na tle coraz groźniejszego bezrobocia i nieprzemysłanych zarządzeń administracyjnych, które zmierzały do zastraszenia załóg robotniczych i zmuszenia ich „za frajer“ do zwiększenia wydajności pracy.

Ale — jak widzimy — robotnicy „nie chcą się bać!“.

### CZY PARTIA ZMIENI FRONT?

Instrukcje w sprawie realizacji „planowanego bezrobocia“ poszły już w teren. Załatwiono to na specjalnej odprawie wyższych urzędników z wydziałów zatrudnienia, zwołanej w styczniu specjalnie do Warszawy, gdzie wicepremier Stanisław Majewski oraz przewodniczący Komitetu Pracy i Płac, minister Michał Krukowski pouczyli zatrudnieniowców w jaki sposób mają zwiększać bezrobocie i wpłynąć na kontrolę funduszu płac. Na konferencji tej potwierdzono również — po raz pierwszy oficjalnie — że w najbliższym czasie będzie przeprowadzona na szerszą skalę redukcja pracowników w mniej wydajnych resortach oraz towarzysząca jej redukcja i przesunięcia wśród aparatu urzędniczego. Podano nawet, że redukcje wśród urzędników mają objąć 2% ich stanu (nie wiadomo tylko, czy dotyczy to jedynie urzędników przedsiębiorstw produkcyjnych i zakładów pracy czy też całego aparatu administracyjnego państwa). Na pewno nie stanowiło przypadku, że termin tej odprawy zbiegł się akurat z datą wystosowania wspomnia-

nego już wcześniej listu Biura Politycznego KC PZPR.

Przeciwnie, należy przyjąć, że list stanowił swoiste uzupełnienie tej narady. Zatrudnieniowcy będą przeprowadzali redukcję pracowników, a list do aktywu partyjnego wyjaśnia i poucza, dlaczego partia odwołała się do tak drastycznych metod regulowania siły nabywczej społeczeństwa i angażuje aktyw do uspokajania wzburzonych nastrojów, zwłaszcza wśród załóg robotniczych. Otwarty konflikt z masami robotniczymi jest bowiem dla komunistów najtrudniejszy do rozebrania. Stąd właśnie rodzi się ta cała tajemniczość i ostrożność w rozgrywaniu tej akcji.

Są jednak granice, poza które kierownictwo PZPR posunąć się nie może. Jeśli wzburzenie robotników przybierze szersze i bardziej trwałe formy — a wszystko zdaje się wskazywać, że taki właśnie obrót sprawa przybiera — Biuro Polityczne KC będzie szukało jakichś innych rozwiązań, aby złagodzić gniew mas robotniczych i nie dopuścić do poważniejszego wybuchu. Oczywiście, nie przesądzi to o zatrzymaniu raz rozpoczętej akcji na rzecz zmniejszenia zatrudnienia i siły nabywczej ludności. Z tego ekipa Gomułki nie zrezygnuje, gdyż wiadomo, że nie potrafi zwiększyć zaopatrzenia rynku wewnętrznego. A sprawy te są ze sobą ściśle związane. Zaczyna się jednak poszukiwania takich rozwiązań, które byłyby zdolne zneutralizować przynajmniej po części jakiegoś większe odłamy klasy robotniczej. I to właśnie można już obserwować.

### WYPOWIEDŹ GOMUŁKI NA ŻERANIU

Znalazło to wyraz w wystąpieniu Gomułki w Fabryce Samochodów Osobowych w Żeraniu w pierwszych dniach lutego. Była to już wyraźna próba uspokajania wzburzonych nastrojów robotniczych i dlatego zapewne nadano jej szeroki rozgłos. Otóż po raz pierwszy od V zjazdu PZPR, to znaczy po raz pierwszy od jesieni roku 1968, przestał Gomułka straszyć robotników rygorami neostalinowskiej dyscypliny pracy i odwołał się do obietnic. Zapowiedział bowiem jeszcze bliżej nie sprecyzowaną reformę systemu pre-

mii robotniczych oraz możliwość podwyżek płac wypracowanych w ramach poszczególnych zakładów, co dotychczas było uważane przez kierownictwo PZPR za kapitalistyczną herezję. Zaznaczył również — bodajże także po raz pierwszy w takiej rzeczowej formie — że wzrost wydajności pracy zależy nie tylko od wysiłku załóg, lecz także od technicznego uzbrojenia przedsiębiorstw. Słowem, nie ten to już ton zastraszania co w listopadzie i grudniu zeszłego roku.

Trudno na razie przewidywać konkretne rezultaty tej widocznej już zmiany kursu władz partyjnych w stosunku do robotników. Wielkich ustępstw na pewno nie należy się spodziewać, chociaż jakieś drobne koncesje robotnicy zakładowi na pewno wytargują, zwłaszcza załogi przedsiębiorstw kluczowych. Ale stanowi to, mimo wszystko, dowód, że wszechwładza PZPR ma granice i szczególnie przy protestach ze strony robotników partia musi się wycofywać z fałszywej linii politycznej. Można więc przewidywać, że w miarę odmładzania się załóg robotniczych trudności dla rządów Gomułki będą się mnożyły, gdyż nowe pokolenie robotników nie będzie się chciało godzić z niedostatkiem, który jest tych rządów owocem.

Tadeusz Podgórski

BIBLIOTEKA „KULTURY“

PAULINA PREISS

### BIUROKRACJA TOTALNA

Analizując tragiczne skutki, jakie sprowadza na społeczeństwo każda totalna biurokracja, autorka kreśli głęboki i trafny obraz klasy rządzącej w Polsce. Książkę tę można śmiało zestawzić z głośną NOWĄ KLASĄ Dżilasa, z tym, że jest ona o wiele bardziej aktualna, gdyż uwzględnia przemiany jakie zachodziły pomiędzy latami 1956—1969.

Str. 224.

Cena: 31sh., 18.50 F., 4.00 dol.

Księgarnia SPK,

20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W.7.



# POLITYKA I DOBRE MANIERY

JADĄC wraz z małżonką z oficjalną wizytą do kraju, gdzie ofiarą wyborowych strzelców padają najwybitniejsi przywódcy, prezydent Francji Pompidou dał, niewątpliwie, dowód dużej odwagi. Nie przewidywano wprawdzie by miała go spotkać jakaś tragiczna przygoda — ale wizyta nie zapowiadała się jako łatwa. Powodowały to: słabość rządu federalnego wobec stanów, które Pompidou miał odwiedzić, soplepańskie obyczaje przywódców i władz stanowych, a wreszcie niedawna umowa, na mocy której Francja obiecała sprzedać Libii na raty 110 nie wyprodukowanych jeszcze samolotów, przeważnie typu Miraże.

Sam proces wchodzenia na rynek libijski przez Francuzów i zajmowanie tam wolnego miejsca po Amerykanach i Anglikach, którym wypowiedziały gościnę rewolucyjne władze libijskie, nie jest — rzecz jasna — dla Amerykanów przyjemny. Ale Francuzi nie bez racji powtarzali i powtarzają, że byłoby z punktu zarówno ogólnozachodniego jak amerykańskiego znacznie gorzej, gdyby próżnię libijską, spowodowaną wyproszeniem „Anglosasów“, zapelnili Sowietarze. Można też przypuszczać, że nikt z rządu francuskiego, a zwłaszcza minister Debré, nie pytał ambasadora USA o zgodę na zawarcie z młodymi oficerami libijskimi umowy, pozwalającej spodziewać się rozszerzenia wzajemnych stosunków gospodarczych oraz aktywnego udziału Francuzów w eksploatacji bogactw naftowych Libii, odkrytych stosunkowo niedawno przez inżynierów amerykańskich. Nadmienmy, że Libia — wczoraj jeszcze państwo pustynne i ubogie — zajmuje dziś dzięki tym zasobom czwarte miejsce w światowej produkcji ropy naftowej.

Można też sądzić, że z punktu widzenia czysto amerykańskiego umowa Francji z Libią nie wywołałaby poważniejszego kryzysu w stosunkach między Piątą Republiką a USA. Odezwały się głosy, że zmysł

biznesu, tak typowy dla Amerykanów, powinienby im ułatwić zrozumienie powodów, dla których Francja, nie wyleczona jeszcze całkowicie po załamaniu się gospodarczo-finansowym ubiegłego roku i po dewaluacji franka szuka korzystnych transakcji eksportowych. Rzecz w tym jednak, że transakcja z rządem libijskim dotyczyła kraju, sąsiadującego z rejonem toczącej się wciąż wojny na Bliskim Wschodzie, zwanej „czwartą wojną Izraela“ — i że przedmiotem umowy ... były sławne Miraże.

Jest jakaś magiczna treść w tym słowie, zawierającym w sobie coś zarówno fantastycznego, jak i eleganckiego. Zwłaszcza dla Izraela jest ono symbolem oraz jednym ze składników błyskawicznego zwycięstwa, odniesionego nad Egiptem w 6-dniowej wojnie czerwcowej 1967 roku.

Ale to nie wszystko! Do dziś dnia lotnicy izraelscy, pilotując francuskie Miraże, rąbią z niezwykłą precyzją arabskie obiekty wojskowe zarówno pod samym Kairem jak i na tzw. „linii tysiąca armat“, biegnącej nad zachodnim brzegiem kanału Sueskiego. Nie trzeba chyba udowadniać, że ta linia tysiąca armat jest wyposażona w wojskowy sprzęt sowiecki. Specjalny wysłannik tygodnika „Paris-Match“ Jean Mézerette, opisując fortyfikacje, zbudowane wokół Kairu i wzdłuż kanału, nie tań, że są one dziełem sowieckich oficerów i że były wzorowane na systemie, jakim broniono Stalingradu przed Niemcami. Linia taka — pisał Mézerette — była może pod Stalingradem niemożliwa do przełamania przez niemiecką armię lądową, ale pod Kairem jest odsłonięta i podatna na uderzenia samolotów izraelskich, które atakują w biały dzień, korzystając z bliskości własnych baz i z unieszkodliwienia egipskiego systemu radarowego.

Dodajmy, że według jednego z tygodników włoskich Izraelczycy, wykradłszy w styczniu najbardziej nowoczesny aparat radarowy produkcji sowieckiej, uczynili to nie tylko

dla bezpieczeństwa własnych lotów, ale również dla zaprezentowania go Amerykanom. Oczywiście, w zamian za dostawy wojskowe. Tak przynajmniej pisał w korespondencji z Tel-Awivu wysłannik „Domenica dal Corriere“ Vittorio Lojacono. Dziennikarz włoski dodawał, że ten niezwykły aparat, który umiał wykrywać Miraże, lecące na najniższym poziomie, znajduje się już w Ameryce.

Ale wróćmy jeszcze na chwilę do doniesień korespondentów francuskich. Kolega Mézerette'a Georges Menant, reporter ze strony Izraela, opisywał ostatnio na łamach cytowanego „Paris-Match“ przebieg walk na linii kanału Sueskiego. Potwierdzając, że artyleria egipska składa się z sowieckich dział typu 122, Menant donosił, że gdy jedna z umocnionych pozycji izraelskich przy El Kantara została ostrzelana przez artylerię, wkrótce pojawiły się na horyzoncie dwa... Miraże i przez parę godzin bombardowały obiekty po stronie egipskiej przy czym, korzystając z całkowitego panowania w powietrzu, wracały do swych baz po paliwo i nowe ładunki bomb. „Na rosyjską taktykę potężnej, hałaśliwej, lecz na ogół mało skutecznej nawały ognia artyleryjskiego, Izraelczycy odpowiadają bombardowaniami z powietrza, w których biorą zazwyczaj udział tylko 2 samoloty, kierowane przez lotników, nie tylko odważnych, ale wspaniałe wyszkolonych“ — donosił z linii frontu francuski korespondent wojenny.

A tu nagle ogłoszono, że Francuzi obiecali sprzedać Libijczykom 110 samolotów, przeważnie Miraży! — Wśród Żydów zawrzało. Nie pomogły tłumaczenia, że wykonanie zamówienia potrwa kilka lat, że najpierw trzeba będzie szkolić pilotów, których Libia nie ma i że Francja od razu nałoży embargo, jeżeli Libijczycy odstąpią choć jeden samolot Egipcjowi.

Żydzi francuscy okazali się dość umiarkowani. Mając zrozumienie dla handlowego aspektu transakcji, za-

żądali przede wszystkim, by rząd francuski zdjął embargo, nałożone jeszcze za rządów de Gaulle'a, na Miraże, zamówione i zapłacone przez Izrael.

Natomiast z Żydami amerykańskimi nie poszło tak gładko. Podczas gdy Nixon i Pompidou czarowali się nawzajem, a ich zgrabne i przystojne małżonki olśniewały fotografów gustownymi i coraz to nowymi toaletami — pojawił się nagle, jako główny trouble-fête rabin Seymour Cohen. Stał on na czele komitetu ad hoc stworzonego w Chicago i jako spiritus movens pokierował najbardziej gwałtownymi demonstracjami przeciw prezydentowi Francji i jego małżonce. Z doniesień prasy wynika, że demonstranci działali w porozumieniu z władzami miejskimi i policyjnymi, gdyż pozwolono im podejść bardzo blisko do francuskiej pary prezydenckiej, aby ją obrzucić wyzwiskami, przy czym niektórzy z podkomendnych rabina udawali, że plują na panią Claude Pompidou. Rola wspomnianego rabina była tym bardziej znamienita, że w godzinach przedwieczornych był on przyjęty na czele delegacji przez prezydenta Pompidou, który udzielił gościom obszernych informacji i wyjaśnień na temat polityki francuskiej na Bliskim Wschodzie. Ale zaraz po tym, tenże rabin Cohen przyłączył się do demonstrantów, wygrażających parze prezydenckiej, gdy udawała się na bankiet wydany przez Alliance Française w hotelu „Palmer House“. Dla poparcia demonstracji, zainspirowanej przez rabina Cohena, demokratyczny kongresman Puciński z Illinois odbył w tymże hotelu konferencję prasową, w czasie której ostrzegwał, że francuskie Miraże, obiecane Libii, mogą być użyte przeciw szóstej flocie amerykańskiej! W propagandowej akcji przeciw Pompidou nie zabrakło więc i argumentów groteskowych.

Aby zatrzeć ślady tego rzetelnego skandalu i aby wykazać, że nie rabin chicagowski ma pierwsze skrzy-

pece w Stanach Zjednoczonych, prezydent Nixon przeprosił telefonicznie prezydenta Francji, po czym demonstracyjnie poleciał do Nowego Jorku na pożegnalny obiad dla państwa Pompidou w Waldorf Astoria.

Sam Nixon był od dawna przyzwyczajony do różnych wrogich demonstracji, które urządzało pod jego adresem w czasie podróży, jakie podejmował zarówno dawniej, gdy był wice-prezydentem, jak i ostatnio — gdy wkrótce po wyborze na prezydenta odwiedzał stolice państw Europy Zachodniej. Toteż gdy w zeszłym roku po wizycie u Papieża zaprowadzono go do sali, w której byli grzecznie ustawieni klerycy amerykańskiego seminarium duchownego, Nixon powitał ich radośnie mówiąc: „Jesteście pierwszą grupą młodzieży, która podczas mej obecnej podróży nie wznosi pod moim adresem nieprzyjaznych okrzyków“. I wesoło sobie z nimi pogadał.

Widocznie jednak stronnicy rabina Cohena mocno przeciągnęli strunę i Nixon, który — *passer moi le mot* — widział już nie jedną drakę, uznał, że tym razem trzeba oficjalnie gości z Paryża przeprosić. Co uczyniwszy, dał dowód dyplomatycznej oglądy i dobrych manier.

O tych dobrych manierach wspominał czołowy przywódca francuskiej opozycji politycznej, François Mitterand. Napisał on do ambasadora amerykańskiego w Paryżu Sargent Shrivera list, w którym stwierdził, że jest rzeczą Francuzów, a nie Amerykanów zmienianie polityki francuskiej, której nie aprobują. Autor listu podkreślał również, że „prawo Amerykanów do krytykowania polityki obcego rządu — prawo zbyt często odmawiane Francuzom — nie zwalnia przywódców amerykańskich od obowiązku przestrzegania zasad kurtuazji i dobrych manier“.

Dodajmy, że Mitterand był kilka lat temu kandydatem nie-komunistycznej lewicy na urząd prezydenta Francji a w roku 1947-ym jako członek rządu premiera Ramadier, bronił Żydów, których Anglicy nie chcieli wpuścić do Palestyny i na trzech statkach nazwanych „pływającymi klatkami“ odesłali spod Hajfy do ... Hamburga!

Feliks Chrzanowski

## ORGANIZACJA

**B**ADANIE procesu historycznego w dziedzinie stosunków społecznych, ekonomicznych i prawnych wykazuje, że ludzie już nie mogą nic nowego i rewolucyjnego wynaleźć i wymyślić. Wszelkie zmiany w tej dziedzinie streszczają się w tym, że to wszystko co w danej chwili wydaje się czymś nowym już było i zostało zastąpione poprzednio tym co w danej chwili uważa się za przestarzałe. W konsekwencji wszelki tzw. postęp w dziedzinie ustroju społecznego, prawnego i ekonomicznego polega na nawrocie do zamierzonych historycznie czasów i reinkarnacji martwych już instytucji. W takiej sytuacji jest rzeczą niemożliwą określić obiektywnie oraz bez demagogii i obłudy co jest postępowe, a co jest reakcyjne.

### OKRES RZYMSKI

W zamierzonych czasach instytucje państwa rzymskiego miały swe źródło w organizacji stanowej. Rodzina i niewolnicy z głową rodziny czy rodu (pater familias) na czele stanowiły zrąb organizacji społecznej i prawnej. Ze względu na to, że rodzina była samowystarczalna obrót handlowy prawie nie istniał i dlatego umowa (contractus) odgrywała bardzo małą rolę.

Z biegiem czasu specjalizacja i obrót handlowy poważnie wzrosły. Zaczęto więc zawierać poważną ilość umów (kupno-sprzedaż, pożyczka itp.), co zmusiło prawodawcę do interwencji i uregulowania w drodze ustawowej stosunków prawnych powstałych w wyniku umowy.

Pierwsza ustawa w tej dziedzinie była bardzo surowa. Według Prawa Dwunastu Tablic wierzyciel niewypłacalnego dłużnika mógł na mocy wyroku sądowego zabić go, sprzedać jako niewolnika, albo trzymać zakutego w dyby do czasu zapłacenia długu, a jeżeli dłużnik nie mógł lub nie chciał wywiązać się ze swego zobowiązania aż do jego śmierci.

Z upływem czasu rygorzy względem niewypłacalnego dłużnika zła-

CZAS

ODNOWIĆ  
PRENUMERATĘ  
NA ROK 1970



# STANOWA A WOLNOŚĆ

godzono w tym sensie, że wierzyciel nie miał prawa go zabić lub sprzedać w niewolę, ale mógł go trzymać zakutego w łańcuchy do czasu zapłacenia długu, pod warunkiem żywienia go, jeżeli nie mógł żywić się na swój koszt. Później można było zająć i sprzedać na licytacji jego mienie.

Pod koniec imperium rzymskiego prawo o zobowiązaniach rozwinęło się do tego stopnia, że niemal unicestwiło organizację stanową. Zawierano wtedy swobodnie umowy na wielką skalę, do czego przyczyniły się w dużej mierze rozkład rodziny i silna tendencja do wyzwalania niewolników, którzy na mocy umowy ze swym panem mogli uzyskać wolność i potem sami zawierać wszelkie umowy, zwłaszcza, że z biegiem czasu wyzwolenców i ich potomstwa było więcej niż ludzi wywodzących się ze stanu wolnego.

## WIEKI ŚREDNIE

Po upadku imperium rzymskiego prawo rzymskie nie tylko nie było stosowane w praktyce, lecz zdawało się, że ślad po nim zaginął. Wiele aktów ustawodawczych i utrwalonych na piśmie precedensów sądowych barbarzyńcy zniszczyli, a z tych które ocalały nie mieli oni żadnego pożytku, albowiem nie znali sztuki pisania i czytania, a ponadto ich poczucie praworządności i sprawiedliwości było inne i prymitywne w porównaniu z wysoce cywilizowanymi Rzymianami.

Łukę wypełniły etyka i światopogląd chrześcijański, wyrażone w nowo powstałym prawie kościelnym, które obok prawa zwyczajowego miało szerokie zastosowanie w każdej dziedzinie porządku prawnego. Prawo to wybitnie przyczyniło się do powstania ustroju feudalnego i wprowadzenia ponownie opartej na zasadach hierarchii organizacji stanowej na nieznaną do czasów bolszewickich skalę.

Papież sprawował nie tylko rządy dusz, lecz również decydował o stosunkach społeczno-prawnych i podziale dóbr ziemskich. Za jego apro-

batą lub z jego nadania panujący monarchowie stali się absolutnymi właścicielami ziemi na ich terenach. Pan feudalny był tylko użytkownikiem ziemi, która prawnie należała do monarchy, za pewne świadczenia (zasadniczo i przeważnie służba wojskowa). Chłopi pańszczyźniani użytkowali przydzieloną im przez pana feudalnego ziemię w zamian za pracę na roli użytkowanej przez niego, przy czym stan ich prawny był podobny do stanu niewolników, albowiem nie mogli oni opuścić wsi bez zgody ich pana i musieli pracować pod przymusem. W konsekwencji nie istniało, tak ważne w prawie rzymskim, indywidualne prawo własności do nieruchomości. Zarówno pan feudalny jak jego poddani, tak samo jak jest obecnie w krajach bolszewickich, mogli być właścicielami tylko ruchomości.

W miastach ustrój społeczno-gospodarczy opierał się na organizacji cechowej. Każdy rzemieślnik musiał należeć do cechu, przy czym starszyzna cechowa nie tylko określała warunki i czas pracy oraz wynagrodzenia za pracę, okresu terminu dla czeladników itp., lecz nawet wyznaczała ceny na towary, które po zatwierdzeniu przez władze municypalne były obowiązkowe.

W takich warunkach, oczywiście, pole do regulowania stosunków prawnych przy pomocy umowy było bardzo ograniczone, albowiem organizacja stanowa prawie unicestwiła wysoce rozwinięte i rozbudowane przez Rzymian prawo o zobowiązaniach.

## WIEKI NOWOŻYTNE

Już w wieku XI i XII prawnicy we Włoszech i południowej Francji zapoznali się z prawem rzymskim, które zrobiło na nich wielkie wrażenie. Studia jednak tego prawa miały charakter teoretyczny, albowiem nadal obowiązywało prawo zwyczajowe i kościelne.

W wieku XV i XVI nastąpiła tzw. recepcja prawa rzymskiego w Niemczech i Niderlandach, polegająca na tym, że sądy zaczęły stosować

prawo rzymskie w czystej formie przy wydawaniu wyroków. Przyczyniło się to wybitnie do ułatwienia powstawania stosunków prawnych i transakcji handlowych w związku z rozwojem handlu i manufaktury, nie naruszyło to jednak systemu feudalnego i organizacji stanowej.

Dopiero kodyfikacja prawa we Francji w 1804 r. w postaci Kodeksu Napoleona, oparta na systemie prawa rzymskiego, zadała ostateczny cios feudalizmowi i organizacji stanowej, wysuwając na czoło prawo o zobowiązaniach.

Kodeks Napoleona miał ogromny wpływ na ustawodawstwo zachodniej i środkowej Europy. Niektóre kraje (między innymi Polska w roku 1807) przyswoiły sobie Kodeks Napoleona w postaci dosłownego tłumaczenia bez żadnych zmian. Inne kraje wzorowały się na nim przy kodyfikacji swego prawa. Ta kodyfikacja prawa przyczyniła się wybitnie, chociaż w niektórych krajach z dużym opóźnieniem, do obalenia feudalizmu i organizacji stanowej.

Jedynie Anglia i Rosja pozostały wierne średniowiecznemu prawu zwyczajowemu, poszerzonemu przez precedensy sądowe i ograniczone ustawodawstwo oraz nieco upstrzonym prawem rzymskim, które w Anglii w nikłym zakresie przedostało się do systemu prawnego z prawa kościelnego. Formalnie więc, czyli pod względem prawa formalnego, Anglia pozostała do dzisiaj krajem feudalnym, chociaż Szkocja oparła swój system prawny na systemie prawa rzymskiego.

## CZASY NOWOCZESNE

To owładnięcie przez prawo rzymskie umysłów ludzi zamieszkałych na terenach zachodniej i środkowej Europy spowodowało z czasem absolutny zanik instytucji feudalnych i organizacji stanowej, a swobodnie zawarte i nienaruszalne umowy stały się podstawą stosunków społecznych, prawnych i gospodarczych między ludźmi, co waleń przyczyniło się do powstawania oraz wzrostu kapitalizmu i do powodzenia rewolucji przemysłowej.

Z drugiej strony Anglia zgodnie ze swym zwyczajem i tradycją łąta-

nia starego, a nie budowania nowego, powiększyła w drodze precedensów sądowych rolę prawa o zobowiązaniach, osiągając podobny skutek.

### OBECNA TENDENCJA

Później jednak prawnicy niektórych krajów spostrzegli, że zasada nienaruszalności i jak gdyby świętości umowy może być powodem niesprawiedliwości dla jednej z umawiających się stron. Toteż już w 1911 r. nowy szwajcarski kodeks zobowiązań wprowadził przepis stanowiący, że „w wypadku oczywistej dysproporcji między świadczeniami umawiających się stron, wywołanej wykorzystaniem przez jedną ze stron trudnej sytuacji, niedoświadczenia, lub braku przezorności drugiej strony, pokrzywdzona strona może w ciągu roku unieważnić umowę i żądać zwrotu świadczenia już spełnionego“.

Podobny przepis znajduje się w polskim kodeksie zobowiązań z roku 1933.

Zmiana takich warunków umowy lub jej unieważnienie może oczywiście nastąpić na mocy wyroku sądowego.

Podczas obu wojen światowych ograniczono swobodę, a nawet prawo, zawierania umów (np. prawo o ochronie lokatorów, przymusowe skierowanie do pracy, zakaz podwyższania cen, zarobków itp.). Było to uzasadnione wyjątkowymi okolicznościami, w których znalazły się państwa prowadzące wojnę.

Niechym jednak nie było usprawiedliwione z punktu widzenia prawnego i gospodarczego pozostawanie w mocy w Anglii ustawy z 1916 roku o ochronie lokatorów domów i mieszkań niumeblowanych do dnia dzisiejszego i wydanie nowych ustaw o ochronie lokatorów mieszkań i pokoi umeblowanych po ostatniej wojnie. Zakaz bowiem zawierania umów najmu w pierwszym wypadku i nadanie prawa władzy administracyjnej zmiany warunków umowy według jej uznania, widzi misię i kaprysu w drugim wypadku, podrywa zaufanie do prawa i wywołując wielkie ryzyko co do opłacalności inwestycji przy budowie i reperaturacji domów mieszkalnych uda-

remnia procesy gospodarcze, zmierzające nie tylko do poprawy sytuacji mieszkaniowej, lecz nawet do utrzymania stanu poprzedniego.

Nie mniejszy cios zadały praworządności ustawy o związkach zawodowych i umowach o pracę. Wprawdzie ustawy te upoważniają do zawierania umów o pracę między pracodawcami i robotnikami w postaci układów zbiorowych, jednakże umowy te nie obowiązują związków zawodowych i zrzeszonych w nich robotników, czyli są typowymi umowami jednostronnymi. Robotnicy w każdej chwili mogą nie dotrzymać warunków umowy bez żadnych dla siebie konsekwencji prawnych, a z wielką szkodą nie tylko dla porządku prawnego, lecz również dla gospodarki narodowej i interesu publicznego. W tym stanie rzeczy trudno zrozumieć po co są one zawierane.

W niektórych krajach dostrzeżono niebezpieczeństwo dla państwa i narodu anarchii w dziedzinie stosunków między pracodawcami i robotnikami. Np. w krajach skandynawskich nowe prawo przewiduje odszkodowanie dla pracodawców od związków zawodowych za straty wywołane niedotrzymaniem umowy o pracę w postaci strajku.

W Anglii nie dotąd w tej dziedzinie nie zrobiono. Premier Wilson usiłował bezskutecznie wprowadzić średniowieczny (i bolszewicki) system „zamrożenia“ płac, pozostawiając jednak robotnikom prawo jednostronnego niedotrzymania umów o pracę, w czym tkwi największe zło.

Z powyższego widać, że postępuje stopniowo zmierzch stosunków prawnych opartych na prawie o zobowiązaniach i potęguje się nawrót do średniowiecznych instytucji opartych na feudalizmie i organizacji stanowej. Obecny chaos w stosunkach społecznych, prawnych i gospodarczych jest zjawiskiem przejściowym i nieuniknionym w okresie przystosowania się do nowego porządku rzeczy. W końcu może dojść do tego, że państwo z konieczności gospodarczej będzie zmuszone do określania wysokości zarobków robotników, pozbawiając ich prawa umawiania się o pracę i prawa straj-

ku, jak jest w krajach bolszewickich. Byłaby to prosta droga do totalizmu i tyranii.

W krajach bolszewickich gdzie państwo, tak samo jak w średniowieczu, wyznacza i określa arbitralnie ceny, zarobki, czas i warunki pracy itp., prawo o zobowiązaniach ma bardzo ograniczone zastosowanie i bodaj mniejsze niż w wiekach średnich. Z drugiej strony, organizacja stanowa i feudalizm są zasadniczym zrębem ustroju społeczno-gospodarczego tych krajów. Np. państwo (a raczej Breżniew i jemu podobni) tak samo jak średniowieczny monarcha jest właścicielem wszystkiej ziemi. Nie może jednak sam użytkować tej ziemi i dlatego oddaje ją do użytkowania biurokracji, a nawet osobom prywatnym. Np. w Polsce, osoby prywatne budując sobie nowe domy otrzymują na mocy ustawy wieczyste prawo użytkowania gruntów państwowych, na których domy te są wznoszone. Z przywileju tego korzystają oczywiście tylko wpływowi i zamożni ludzie, którzy mają pieniądze na budowę domów.

Należy uświadomić sobie, że w sensie ekonomicznym i organizacji społecznej bolszewizm nie ma nic wspólnego z komunizmem lub socjalizmem (obojętnie jak to się zwie). Komunizm pozostaje w abstrakcyjnej sferze teorii, ideologii, religii i metafizyki. Natomiast bolszewizm będąc stosowany w praktyce jest rzeczywistością i zjawiskiem realnym i dlatego nadaje się do badania i analizy prawno-ekonomicznej na płaszczyźnie porównawczej.

Aleksander Stambrowski



**SZYBKO I TANIO!**  
Biuletyny, ulotki reklamowe,  
druki jedno- i wielobarwne  
w y k o n u j ą  
ZAKŁADY GRAFICZNE  
**GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.**  
171, Battersea Church Road,  
LONDON, S.W. 11.  
Tel. 01-223 0879

**PODSTAWĄ ISTNIENIA PISMA  
JEST REGULARNIE OPŁACANA  
PRENUMERATA**



# Dzień w życiu Feliksa Topolskiego

JESTEM wielbicielem pańskiej sztuki, przyjechałem specjalnie z Manchesteru, żeby obejrzeć wystawę, a szczególnie szkice i obrazy chińskie“. W drzwiach studia stoi karzelek, miękkie blond loki otaczają za dużą twarz o smutnych oczach, brązowy surducik opina postać dziecka. „Chwileczkę“, mówi uprzejmie Feliks Topolski, „sam zaprowadzę pana do galerii, bo zwolniłem sekretarkę, żeby przed swoim urlopem mogła pójść do fryzjera“. Po czym doskonałym angielskim przeprosza młodego kompozytora, z którym omawiał muzykę do mającego się ukazać w najbliższym czasie albumu o Ameryce; po francusku ekskuzuje się przed znanym francuskim dziennikarzem, który przeprowadza z nim wywiad, a mnie zaprasza po polsku, abym także obejrzała wystawę, która mieści się w innej części ogromnego Festival Hallu. Z narzuconą niedbale wiatrówką, sprężystym krokiem tych obdarzonych wieczną młodością, wychodzi. Po drodze załatwił jeszcze jakiś telefon.

Z jednej strony karzelek, z drugiej strony — ja, wichur hula pod kolejowym mostem, objając się o szerokie schody i o proste zręby wieżowców, siąpię deszcz. Z nieudawanym zainteresowaniem Topolski wypytuje karzełka, kto, co i jak? „Jestem tylko a Sunday painter“, przyznaje pokornie karzelek, który jest z zawodu fizykiem. „Świetnie — dodaje mu odwagi, zachęca go Topolski — ja nie lubię szkół malarskich, czasem więcej szkoda niż uczą, szczególnie gdy w grę wchodzi prawdziwy talent. Trzeba malować“. Uśmiechamy się wszyscy troje, uśmiech łączy ludzi; w chaotycznych dźwiękach wielkiego miasta, po rozmowie mistrza z Sunday painter doszukuję się odgłosów czarodziejskiego „bębna“, błąka mi się po głowie, tak, Topolski — absolwent Warszawskiej Akademii Sztuki, osiągnął, co osiągnął własnym wielkim talentem, własnymi studiami, Włochy, Francja, Anglia...

Kilka plakatów na drewnianych

okiennicach mówi skromnie, że tu właśnie wystawa obrazów Feliksa Topolskiego. Nie dowie się z nich obojętny przechodzień, że Topolski miał wystawy we wszystkich stolicach świata, że był malarzem II wojny światowej na lądzie, na morzu i w powietrzu (wybrany z najlepszych malarzy przez specjalną komisję, łączył tę funkcję z czynną służbą w Wojsku Polskim w charakterze oficera); nieuświadomościemu nie przyjdzie także na myśl, że za skromną fasadą kryją się dzieła wielkiego portrecisty i osobistego przyjaciela królów, wodzów i wielkich duchem, pisarzy, poetów i artystów; że jako wędrowiec świata szukał ludzi i znajdował ich na wszystkich kontynentach, a prace jego wiszą w pałacach (z Buckingham włącznie) i w muzeach o światowej sławie.

Tak, Topolski może być skromny, myślę sobie wchodząc do pogrążonej w egipskich ciemnościach galerii. „Nie bój się, zaopiekuję się tobą“, uspokaja mnie karzelek, łapiąc mnie za skraj płaszcza, gdy potykam się o niewidoczny schodek.

Topolski zapalił kilka reflektorów, które rzucają niedostateczne, ale za to nastrojowe światło na płótna wielkie i mniejsze, na kawały życia ujęte w malarskie skróty, koncentraty emocji i myśli uruchomione, uzupełnione naszymi cieniami. Pod lwią grzywą hypnotyzują płonące oczy poety Audena, zielone ślepie drapieżcy w wyrazistej masce meduzy? Mrok i blask przeplatane cieniami, a tu — portret solidnego pana, ach to przecież Wells, który bujał w przestworzach na długo przed astronautami! A to królowa z księciem Filipem na paradzie, i ofiary niemieckich kacetów, i handlarze z Lagos, i emigranci z Afryki na okręcie „Moledet“ (ojczyzna P. R.), i rozgadani na międzynarodowych konferencjach politycy. O czym mówią? A może mają zamknięte usta, wymienialni jak szeląg ludzkie na szczytach, słomiane chochoły, od których zależy życie karłów z krwi i kości, i inni — lu-

dzie na barykadach, w więzieniach, w miastach na pustyni. Korowody ludzi z Topolskiego Świata Bez Granic, uwiecznieni wymownymi czarno-białymi liniami albo kolorowymi plamami.

Naraz, jakby zeszedł z jednego z obrazów, staje przed nami młody olbrzym, Murzyn zakończony papuską szopą kręconych włosów; zanim ktoś powiedział słowo rozkłada przed Topolskim tekę, z której wypadają szkice i malunki. „Czy chce pan mieć ze mną wspólną wystawę?“, pyta Murzyn Topolskiego. I dodaje wyzywająco: „W krypcie kościoła na Trafalgar Square“. Aha! Pan Feliks uśmiecha się, przegląda pracę młodego olbrzyma, i mówi — tak. „Ależ to bezczelność, pan z nim!“, syczę oburzona. „Nie, wcale nie, mówi Topolski. Przede wszystkim bawi mnie sama idea takiej wspólnej wystawy, poza tym chłopak jest młody i utalentowany, chcę mu pomóc. Będzie to także rodzaj demonstracji pro-kolorowej i protestu. Bo czy pani wie, co robią w krypcie kościoła na Trafalgar Square?“ Nie, nie wiem. „Rozdają tam bezpłatne posiłki bitnikom, narkomanom, bezdomnym. Samo miejsce, Trafalgar Square, też coś mówi. Wystawa w krypcie łączy więc sztukę ze sprawami codziennego życia“. Topolski zamyśla się i dodaje, jakby sam dla siebie: „Nie znoszę eleganckich handlarskich galerii, grzecznościowej sztuki...“

Topolski prowadzi dziwną trójkę do wielkiego obrazu z czterech części, na którym żalobną bielą lśni więzienny strój Murzyna o delikatnych rysach „piękny, prawda? arestowany podczas Demokratycznej Konwencji w Chicago, byłem tam w czasie niesławnych rozruchów“, obok — amerykański policjant o wyglądzie esesowca, a z drugiej strony — siedzi Murzyn, stoi Murzyn, tańczy mi przed oczyma mozaikowymi kolorami, układa się w kształt „piscis“, symbolu pierwszych chrześcijan. „To Czarne Pantery“, mówi Topolski, z którymi spotkałem się w Los Angeles“, w mieście anio-

łów, w mieście drapieżnych zwierząt. „Piszę teraz, maluję Amerykę; tak, piszę także, wiersze i rodzaj pasyjnej sztuki, partyzanckiego teatru marionetek“. Problemy amerykańskie? „No powiedzmy, ale ujęte chaotycznie, podkreślone mniej ważne, pominięte ważne, to Ameryka jak ja ją widziałem, jak ja ją czuję“.

Księgę o Chinach przeglądam pochylona nad złotą głową zatopionego w niej karzełka. „Chiński komunizm wzrusza mnie, bo jest rodzajem ruchu religijnego, przypomina mi czasy pierwszych chrześcijan. Chińczycy są dzisiaj jakby odmianą hippisów na masową skalę, którzy głoszą filozofię miłości. Tkwi w nich odwieczna tęsknota za ludzką dobrocią, jakaś nutka prometejska, może uda im się stworzyć jakąś ludzką koncepcję. Na razie eksperymentuję. Nie, żyć bym tam na stałe nie mógł“.

Wracam w deszczu do studia, gdzie na skrzynkach i połamanych stołkach poniewierają się szkice do portretów, niedokończone symfonie i etiudy na kartkach z bloków i kartonach: rozpięte na sztalugach gadki prawią misterne linie rysunków ze wszystkich kontynentów. Rozmachem kompozycji i barwnych plam pyszną się ekspresyjne murale, nad anonimowym szarym tłumem czerwony sztandar z gwiazdą, w pomarańczowym ponczo uśmiecha się dziewczyna („to moja córka“). Wysoko — wysoko, zamiast sufitu łąty korugowanej blachy, mały piecyk ogrzewa zaledwie część wielkiego studia, tę „prywatną“, z podniszczoną bordo kanapą, pokrytym lisiimi skórąmi łóżkiem i krzesłem obok zawalonego książkami i papierami stolika. Aha, zapomniałam, jest jeszcze kuchenka w osmalonej wnęce, przy której kręci się bezradnie młody chłopiec, ofiara „czystki“ w Polsce, oraz butelki z trunkami, szklanki, gliniane kubki.

„Pan osiedlił się w Anglii w roku 1935, czy tak?“, pytam niepewnie, gospodarskim okiem obejmując cygańskie wnętrza, z węzowymi skrętami elektrycznych sznurów na szarym klepisku podłogi. „Nie osiedliłem się — zatrzymałem“, — poprawia mnie Topolski. „Jestem świadom

nie niezakotwiczony, wszystko u mnie jest na kółkach, nie znoszę kotwic i korzeni. Może wyniosłem to z domu, gdyż rodzice moi byli aktywnymi socjalistami, a gdy urodziłem się — ojciec był w więzieniu. Antyrodzicielski bunt, młodzieńcze esprit de contradiction sprawiły, że przestałem wierzyć w dogmaty i „korzenie“, co w połączeniu z moimi artystycznymi skłonnościami związało mnie z grupami „Skamandra“ i „Kwadrygi“, w których komunizujący poeci wyklócali się po przyjacielsku z liberalnymi hrabia-ami przy pół czarnej w Ipsie czy w Ziemiańskiej „na górce“. W kontrowersyjnym klimacie społecznym i narodowościowym przedwojennej Polski byliśmy sceptykami i cynikami, agnostycznymi i nie uznający problemów rasowych. Szukaliśmy i pytaliśmy, a nie hurra-chowali, i taki już zostałem“.

Topolski częstuje czekoladkami i kawą wszystkich gości, czekających na niego z większą lub mniejszą cierpliwością, odpowiada na kilka zdecydowanie niecierpliwych dzwoneków telefonicznych, po czym kontynuuje: „Ale wróćmy do Anglii. Zatrzymałem się tutaj z kilku powodów, ale przede wszystkim dlatego, że w tym okresie byłem nastawiony na rysownictwo XIX wieku, a Anglia bardziej niż inne europejskie kraje była „zakonserwowana“ w rytmie przeszłości, i stanowiła świat stylowy, wyodrębniony od reszty. Ówczesna atmosfera Anglii odpowiadała moim artystycznym potrzebom. Poza tym, bardzo spodobały mi się angielskie kobiety (i podobają w dalszym ciągu — mój dopisek!), no i last but not least — ja spodobałem się Anglikom“.

W jednym z niezliczonych zakamarków studia przeglądam pokryty kurzem stos „Kronik“ Topolskiego, tego jedyne w swoim rodzaju artystycznego wydawnictwa „dla studentów spraw świata“, które Topolski wydaje od roku 1953 niemal na własną rękę, jednoosobowa redakcja, pisarz, rysownik, a często nawet i drukarz. Wzrok mój pada na kilkanaście portretów G. B. Shawa, który był osobistym przyjacielem młodego malarza, jego patronem i wielbicielem. Czy między innymi i wpływ filozofii Shawa nie zaważył

na ukształtowaniu Topolskiego poglądu na sprawę?

„O tak, Shaw był dla mnie bogiem i wyrocznią, uwielbiałem go, a on obdarzał mnie uwagą i sympatią. Uparł się, bym zrobił ilustracje do kilku jego sztuk („Genewa“, „Pigmalion“, „za złotych czasów dobrego króla Karola“). W związku z tym opowieści pani ciekawostkę. Tłumaczem Shawa na polski był pan Sobieniowski, dzięki któremu prapremiery niektórych sztuk odbywały się w Warszawie a nie w Londynie. Tak się także stało z „Genewą“, wystawioną w r. 1939, w której rolę Hitlera grał, zdaje mi się, Węgrzyn. Podobno, po zajęciu Warszawy, hitlerowcy uwięzili Węgrzyna za interpretację tej roli. Na posłanym Sobieniowskiemu manuskrypcie „Genewy“ Shaw napisał odręcznie: „Topolski jest zadziwiającym rysownikiem, może największym z impresjonistów w czarno-białym“. Sobieniowski chciał sprzedać mi ten egzemplarz, ale ja odmówiłem, zły, że chce zrobić na tym interes, a poza tym nie miałem wówczas pieniędzy. W następstwie, wielu krytyków powoływało się na tę opinię Shawa, ale nie było dowodu. Dopiero po wojnie ukazała się w „Timesie“ wiadomość, że manuskrypt z tym napisem znajduje się w archiwach Teatru Polskiego“.

W międzyczasie do studia zwała się ekipa filmowa z Polski, dwóch młodzieńców z aparatami i maszynami, kręcą film, włączają i złączają z drabin, żeby „ująć artystyczny kąt“ takiego czy innego obrazu oraz całego studia z jego artystycznym nieładem. Czekoladki, wódka, kawa. Mrok liże zaludnione mury, rozrabia kształty, pełza po twarzach, miejscami przecięty snopami reflektorów i ostrych latarek kinowców, którzy zresztą niespodziewanie szybko wypełnili swoje zadanie i po wymianie kilku grzeczności opuszczają studio z aparaturą.

Hm, mruczy Topolski, i wzrusza trochę bezradnie ramionami. „W Polsce powojennej szukałem usprawiedliwienia dla krzywd społecznych sprzed wojny. Przez jakiś czas wydawało się, że w tym eksperymencie na światową skalę Polska będzie przodowała, mimo i wbrew dogmatom narzuconym przez Rosję.



Żenująca sytuacja nastąpiła dopiero w ostatnich latach, a dzwonkiem alarmowym była historia z „Dziadami” — Dejmka i rozruchy studenckie, które po niej nastąpiły. „Rewolucja” moczarówców z jej absolutnym dławieniem wolności wypowiedzi we wszystkich formach oraz antysemicką hecą pozbawiła ustrój wszelkiego usprawiedliwienia i splamiła imię Polski na Zachodzie. Odkupienie będzie wymagało wiele czasu i wysiłku... No, ale ludzie to znów inna sprawa“.

Topolski podchodzi do karzelka, wysłuchuje cierpliwie kilku epizodów z jego artystycznego i fizycznego życia, ofiaruje mu szkic z dedykacją i odprowadza go do drzwi, aby wrócić do francuskiego dziennikarza. Wywiad przerywa po pół godzinie, aby kontynuować rozmowę z kompozytorem („to genialny młody człowiek, jak najbardziej nowoczesny, to mi właśnie potrzebne, aby oddać Amerykę wszystkimi trzema środkami komunikacji, słowem, obrazem i muzyką“). Otoczona cieniami i plamami, siedzę w dalekim nieoświetlonym kącie, do którego dochodzi głos kompozytora: „To trudne, czego pan ode mnie wymaga, bardzo trudne, a jakby pan oddał muzycznie światła Harlemu?“ Topolski mówi jak.

W drodze na koncert wstępuje do studia para w średnim wieku, jak wycięci z „Vogue’a“: on — angielski adwokat, były chairman Tate Gallery, ona — Amerykanka w długim skórzanym płaszczu, który sobie niedawno przywiozła z Izraela. „Jakie oni tam mają piękne wyroby skórzanego i dzianiny“, zachwycą się Amerykanka. Oczywiście, z miejsca nawiązuje się ożywiona dyskusja na temat tragicznego konfliktu arabsko-izraelskiego, która nawet w mikrokosmosie studia przeradza się w gwałtowną wymianę zdań między obecnymi tam eksponentami kontrowersyjnych poglądów i kolidujących racji, łącznie z tymi propagowanymi przez Wielką Czwórkę i dawno zmarłych filozofów, Magnusa i Bubera. Taktownie, z artystycznym obiektywizmem stojącego z boku idealistycznym obserwatorem, Topolski łagodzi sytuację przynosząc kilka numerów „Kronik“ (17-20) z wymownymi rysunkami z jego po-

bytu w Izraelu w roku 1963. Chasydzi i artyści, kibucnicy i żołnierze, Jerozolima i Akko, prześladowani i wywyższani, w kawiarniach i przy pracy. „Wspaniałe!“, krzyczymy, tym razem jednym głosem.

Widocznie dla zachowania równowagi, Kompozytor, który jest ekspertem od arabskiej muzyki i romantycznym patronem arabskich „natives“, pyta czy chcielibyśmy posłuchać śpiewu muzeina. Naturalnie, prosimy. Kompozytor nasuwa na czoło futrzaną czapę, przykładając złożone dłonie do ust i zawodzi, nie tyle autentycznie, ile wielkim głosem. „Świetnie, mówi Topolski, czy mógłbym jednak zwrócić drobną uwagę, że może warto by raczej trochę bardziej łzawo...“ Na co kompozytor, że w Egipcie uznali, iż jest lepszy od prawdziwych muzeinów, i odchodzi. A za nim elegancka para śpieszy na koncert.

„Jakie jest pana belonging?“, pytam ni w pięte ni w dziesiąte Feliksa Topolskiego, którego dzieło życia dało mi już przecież najlepszą odpowiedź. Jego bogata twórczość świadczy, że ten przyjaciel królów i żebraków, olbrzymów i karłów, ewangelik z Polski, żydowskiego pochodzenia, agnostyczny idealista, jest po prostu obywatelem świata z czystej rasy humanistów, którego apetyt na życie i ludzka wyrozumiałość nie podpadają pod konwencjonalne formułki.

„Dzielę ludzi z grubsza na wegetatywnych, tych lubiących własne podwórko, oraz na wędrowców, ciekawych wszystkich i wszystkiego. Ci pierwsi, o ile los wyrzuci ich poza obręb ich własnego podwórka, mają o to wielki żal do życia, marzą o powrocie, często zabierają to podwórko ze sobą, ślepi na wszystko nowe i inne. Wędrowcy natomiast, do których ja należę, czują się członkami ludzkości, poruszają się swobodnie po świecie, jak po własnym terenie. Z rodzaju mego daru artystycznego wynika, że jestem zażarty na wszelkie doświadczenie, na najpełniejszą skalę, zawsze i wszędzie w ramach człowieka bez różnicy ras, klas, wyznań i kolorów. Staralem się i staram w dalszym ciągu wyrwać z konieczności, które zamykają ludzi w pewnych granicach, każą im tkwić w sosie określonego gatunku“.

B.D.I.C

## WOLNE OD OPŁAT CELNYCH

- materiały dentystyczne produkcji angielskiej, niemieckiej, szwajcarskiej, USA itd.
- wszystkie lekarstwa
- okulary
- pończochy na żyłaki
- wykonywanie recept krajowych sprawnie wyśle, bez zwłoki

Największy na świecie  
Polski Dom Wysyłkowy

### TAZAB & CO.,

T A Z A B H O U S E

ROLAND GARDENS,  
LONDON, S.W. 7.

Tazab of London Inc., 16, Stuyvesant  
Street, New York 3, N.Y. 10003

o r a z

Représentation de Tazab à Londres,  
20, Rue Legendre, Paris 17-e.

Wzmocnijcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów  
zwierzęcych

## KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID

F R A N C J A

66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.

## INSTYTUT LITERACKI

SERIA „DOKUMENTY“

## ZNASZ-LI TEN KRAJ?

Rzeczywistość polska  
w świetle prasy  
krajowej

(ANTOLOGIA)

Cena: 40 sh., 24 F., 5 dol.

Księgarnia SPK,  
20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.

# KREONI I ANTYGONY

Młodzież lubi dzisiaj luksus, ma złe maniery, gardzi autorytetem, nie darzy szacunkiem starszych, trąkocze zamiast pracować. Młodzi nie powstają na widok wchodzących starszych. Sprzeciwiają się rodzicom, chępią się w towarzystwie, pochłaniają przy stole słodczyce, zakładają nogę na nogę i tyrannizują nauczycieli. (Sokrates).

KREON był bratem Jokasty, wdową po zamordowanym królu Teb, Lajosie. Edyp nieświadomie ożenił się z matką Jokastą i spłodził z nią kazirodeco kilkoro dzieci, między nimi Antygonę. Po wypędzeniu Edypa i ponownym objęciu rządów przez Kreona przyszło do konfliktu między Kreonem a Antygoną, zakończonego zwycięstwem wuja nad siostrzenicą. Kreon symbolizuje w amerykańskiej intelektualnej publicystyce pierwiastek konserwatywny, Antygoną — buntowniczy, rewolucyjny.

Symfonia układu i wykonania dzisiejszej młodzieży zdradza dwa leitmotywy: absurd i nihilizm. Można by ją zaopatrzyć obiecującym tytułem jak „Zmierzch cywilizacji“.

Iwan S. Turgieniew odplacił się czarną niewdzięcznością Zachodowi, zwłaszcza Francji, gdzie spędził najlepszy okres twórczego życia. Swą słynną powieścią „Ojcowie i dzieci“ otworzył istną puszkę Pandory, z której duchy zniszczenia, nazwanego przez niego nihilizmem, zwycięsko przeniknęły do literatury i filozofii rosyjskiej, a wiek później poczęły toczyć starą cywilizację. Dla klasyka Lwa Tołstoja atak na wszystkie uznane wartości, jak moralność, etyka i estetyka był takim szokiem, że sąd nad swymi braćmi po piórze zamknął w wyznaniu: Smutek i wstyd — budzi się uczucie, którego doznaje się w domu obłąkanych.

„Zapiski iz podpolya“ Dostojewskiego mieszczą już wszystkie idee, przyjęte przez współczesnych i potomnych literatów. Przepuszczone przez pryzmat szaleńczych teorii Nietzschego uzyskały jako dekadentyzm, pesymizm i katastrofalizm pełne prawo obywatelstwa. Na tej

korzystnej pożywce tuczą się doskonale wszelkie antysocjalne wirusy.

Istotę absurdu najlepiej wyjaśnić na przykładach. Geniusz S. Freuda odkrył w dowcipach („Der Witz und seine Beziehung zum Unbewussten“) klucz do rozwiązania wielu zagadek, tkwiących w podświadomości, a niepokojących intelekt. Zagadnieniu niedorzecznego dowcipu poświęcił sporą część rozprawy. Dzieli się z czytelnikiem najprzeróżniejszymi, tragikomicznymi anegdotami, aforyzmami i „witzami“. Z nich reprodukuje jeden: Nie urodzić się byłoby najlepszą rzeczą dla człowieka, ale to zdarza się zaledwie raz na sto tysięcy. — Absurd drugiego zdania uplastycznia niedorzeczność pierwszego. Jeden nonsens pokrywa drugi. Technika absurdu dowcipu polega na sztuce zaprezentowania czegoś idiotycznego i nielogicznego, aby w ten sposób oświetlić coś, co jest głupie i bezsensowne.

André Gide, niedługo przed śmiercią, napisał „Ainsi soit-il ou Les Jeux son faits“. Jest to swobodny reportaż z podróży po świecie i z wycieczek w krainę wspomnień lub refleksji. Zamieszczą w nim i krótki rozdział o humorze. Jako ilustracja niech służy anegdota: W kawiarni bywalec gra w szachy ze swoim psem. Zbliży się zaciekawiony gość: „Ależ on naprawdę gra ten pański pies! Co za inteligencja...“. „No, no, proszę nie przesadzać, przegrał dwie ostatnie partie“.

Nie zdajemy sobie od razu sprawy, co nas śmieszy w tej historii. Nie przychodzi nam na myśl, że przyczyną jest nonsens. Za moich młodych lat nikt nie wpadłby na pomysł wzbudzania wesołości podobnym kawałem i żaden słuchacz nie bawiłby się nim. Historię o zwierzętach cieszyły się zawsze, od Ezopa do Krasickiego, powodzeniem. Ludzkie cechy czyniły zwierzęta śmieszne i pozwalały na wyciąganie morału. Absurdalny dowcip nie zgłasza pretensji do takiej rangi. Śmiech spełnia swoją funkcję w higienie życia umysłowego. Przerywa napięcie, wyzwala

na chwilę nasze życie duchowe z różnych więzów, otwiera furtkę bez trosk swobodzie. Chętnie przyznamy mu te zasługi, jeśli idzie za głosem logiki, dyktowanej zdrowym rozsądkiem. Budzi w nas jednak niepokój, gdy swe narodziny zawdzięcza absurdowi.

Do istnej plagi naszych czasów należą różne „comics“, „comic strips“, „funnies“ etc. Powodują nałóg nie tylko u starszych czytelników, ale również u najmłodszych. Ci wydają ostatni grosz na wycieczki zбочzonych mózgów, a nie znajdują czasu na czytanie właściwej lektury. Pisano wiele na temat szkodliwości tych świstków i sposobów zaradzenia pandemii. „Permissive society“ jednak z różnymi donami, biskupami (dr John Robinson) na czele, nie godzi się na żadną cenzurę. Z dwójga złego — uważa — lepiej zatruwać nieletnich i wzbogacać handlarzy pornografią. Ta haniebna „literatura“ dołącza do pierwiastka absurdu komizmu elementy rafinowanego okrucieństwa lub zбочzenia seksualnego. Oto jeden z budujących przykładów rodzicielskiej bezwzględności: Dziecko nudzi matkę, aby z nim poszła do kina. Zaczyna matula opiera się aż wreszcie zniecierpliwiona wybuchą: Kiedy wreszcie pojdziesz, że jesteś ślepy?

Widzę nieraz ludzi śmiejących się po przeczytaniu podobnych nikczemności. Zastanawiam się nad procesem, rozgrywającym się w ich podświadomości. Chodzi chyba o jakieś szczególne napięcie, którego wyładowania dokona jedynie niesmaczny i brutalny dowcip. Ale co to za struktura duchowa, wymagająca aż takiego wstrząsu, aby mu wyznaczyć rolę katalizatora w procesie wywołania śmiechu?!

W skomplikowanym procesie gra prócz paradoksu pewną rolę zбочona logika. Gruba przesada mija się z zamierzonym efektem. Traci wszelki kredyt, osłabiając z góry swoją wiarygodność. Co miało imponować odstrasżającą niezwykłością czy grozą, wychodzi jako błazeństwo. Wolno więc całą aferę kwitować śmie-



chem. Ostateczny bilans dowcipu wygląda następująco. W naszej świadomości utrwalił się pogląd, że istnieją różne ponure i okrutne sytuacje. Zamiast właściwego, potwierdzającego przykładu przemycono namiastkę, paradoks, co pozwoliło na chwilową ucieczkę przed niemiłą rzeczywistością. Im intelekt uboższy, tym serdecniejszy śmiech. Nadarza się rzadka sposobność odreagowania na tę zawstydzającą próżnię duchową, topiącą ją, chociażby na chwilę, w wesołości. Nicość, nihilizm ustępuje miejsca euforii. Wythnienie jest jednak krótkotrwałe i nie stanowi zadowalającego rozwiązania.

Uczucie beznadziejności, tak powszechne wśród młodego pokolenia, działa paraliżująco na wszystkie szlachetniejsze odruchy umysłu. Jest to stan niepojęty dla normalnego człowieka, nieznośny do tego stopnia, że może skłonić do samobójstwa bez zrozumiałej przyczyny. Czytamy o takich wypadkach, intrygujących swą zagadkowością najbliższych i policję. Samobójca przechodzi przez okres wyobcowania, przeżywa w swej błędnej ocenie bankructwo uznanego porządku, mocuje się z koszmarem nicości i ulega. Prof. Rausch określa ten stan bardzo trafnie jako „Sinnleere“, „próżnię sensu“.

Pewne czynności i reakcje młodzieży pozostają tak niezrozumiałe dla normalnych obserwatorów, jak pointa nonsensownych kawałów wymyślała się dawnym pokoleniom. W obu wypadkach bezsensowność obejmuje rolę spiritus movens. Dowcipy pobudzają do śmiechu z powodu przesady, przekroczenia granicy nawet dzwolonej nedorzecznosci, gdzie czyha nicość, Sinnleere. Zboczona młodzież widzi czy czuje tę przepaść, obawia się jej instyktownie, dlatego przesadza w swych poczynaniach i szamoce się z wizją upiornego nihilizmu, aby go tylko opóźnić lub oddalić. W konsekwencji popełnia szaleństwa. Niewytłumaczone wręcz fałszywe entuzjastyczne anarchizmu zalewają od czasu do czasu ciężko doświadczoną Amerykę. Prowodzący nie czytają więcej Marxa i Lenina. Zadowolają się biografiami południowo-amerykańskich rewolucjonistów i usiłują pójść w ich ślady.

Powracam do André Gide'a. Napisał powieść — tytułu nie pamiętam,

— której bohater, 19-letni fizyczny i psychiczny bastard, popełnia najnieдорzeczniejszy mord bez wszelkiego uzasadnienia. Klasyczna kryminologia stała na stanowisku, że za każdą zbrodnią ukrywa się pewien motyw. Na niedawnym kongresie w Wiesbaden poddano ten dogmat rewizji. Jeden z uczonych podejrzewał, że podobna do wyżej opisanej, zbrodnia służy dzisiaj do podniesienia prestiżu we własnych i obcych oczach. Chorobliwe przeświadczenie o roli bezsensownego mordu może wyrósć na podłożu skutecznie przygotowanym przez podpory społeczeństwa. Na każdej stronicy pewnej prasy znajdziemy kazania na temat litości, wyrozumiałości, nowoczesnej sprawiedliwości, nie liczącej z widmem szubienicy w zacofanych krajach, do których należała do niedawna i Anglia. Głoryfikacja gwałtu, a surowa krytyka organów bezpieczeństwa należy również do repertuaru pewnego typu dziennikarzy. Narkomanj znajdują w nich pobłażliwych sędziów. Nie odbywa się ta perswazja bez mniej lub więcej wyraźnego poparcia ze strony kapitału, zaangażowanego w wydawnictwie brukowej „literatury“ i pornografii. Nic więc dziwnego, że eulogia i poparcie budzą ochotę do znalezienia się w świetle kinkietów i przelicytowywania się w bestialstwie. Hippisi spod znaku Charlesa Mansona lub mediolańscy anarchiści mogli z góry liczyć na rozgłos i podziw dla swych herostrackich czynów.

Pomijając jednak ekscesy sensacyjnej prasy lub nieopatrnych pedagogów-socjologów, już sam fakt zbyt poważnego traktowania, nadmierna „publicity“ zagadnień związanych z ruchami niedowarzonych głów, a niepełęgnowanych ciał może wywołać niepożądane skutki. Należy się liczyć z łańcuchową reakcją, kulminującą w zachęce do naśladownictwa antyspołecznych wzorów.

Morderca w opowiadaniu Gide'a nie szukał sławy. Żaden afekt nie wchodził w rachubę. Przeciwnie, zachował zdumiewająco zimną krew i racjonalność przy wykonywaniu swego zbrodniczego czynu. Nie był też mordercą z urodzenia ani nawet psychopatą. Doszedł do przekonania, że nihilizm przeżera chore spo-

łeczeństwo, pogrążone w mrokach bezsensu. Jako cząstka podminowanego organizmu cierpiał na złe samopoczucie. Podświadomie czuł trwogę przed oplatającą go nicością i bezcelowym wegetowaniem w atmosferze obojętności, pustki i nudy. — Nudy... Jeśli ktoś zdoła się przemóc i czytać rzeczy François Sagan, gotów zginać z tej udy, którą opisuje autorka. Jedna z jej znużonych bohatererek zwierza się: „Ten brak rzeczywistości wydał mi się właściwą formą życia“. W innym miejscu przyznaje, że kochała słowa, odnoszące się do miłości, ale nie kochała żadnej istoty.

Więc znowu ofiara osamotnienia, wyobcowania, niezdolności wyknnięcia się z pajęczyny nihilizmu. To wycofanie się ze społeczności, odosobnienie jest niewątpliwie powodem wielu niepokojących, zgoła absurdalnych i niebezpiecznych kroków dzisiejszej młodzieży. Prowadzi ona pewnego rodzaju zimną wojnę ze społeczeństwem i cywilizacją, przerywaną od czasu do czasu wyraźnym naruszeniem reguł gry.

Tak zwana młodość trwa dzisiaj dłużej aniżeli za naszych ojców. Po-czyzna się wcześniej, a kończy się stosunkowo późno. Być może, że fizjologiczny okres pokwitania przesunął się do wcześniejszego wieku. Osobnik przygotowuje się dłużej do zawodu, a zanim utonie w obowiązkach, przemierza okres tymczasowy, w którym zaciera się granica między światem debiutantów a Kreonów. Wypadki śmierci u 13-letnich narkomanów są już znane. Dzisiejsza Antygona występuje w roli producenta i poważnego konsumenta. Trwa jednak, niestety, w okresie dzieciństwa, gdy chodzi o sąd o ludziach i wydarzeniach.

Świat Kreonów uległ również radykalnym przeobrażeniom. Rewolucyjne postępy na wielu polach, zwłaszcza technologii, nadają niepokojące tempo, wymagają olbrzymiej zdolności dostosowania się, szybkiego wybicia się i osiągnięcia jak największych sukcesów. Młodzież patrzy na ten wyścig z nieufnością, odrzuca z pogardą materialistyczno-burżuazyjny, a nawet marksistowski światopogląd i przewartościowuje wszystkie wartości.

(Dokończenie na str. 14)

Upał nie do zniesienia. Okna „zabite“ na mur aż do przyszłej wiosny, aby ciepło spod kotłowni, jęczących żałośnie w starych kaloryferach starego domu nie umknęło żadną szparą het, gdzieś aż pod Albertę, gdzie przy 50 stopniach mrozu Celsjusza helikoptery zrzucają odcięty od świata żywność. Stoję przy zamkniętym oknie, które więzi nie tylko nadmierne ciepło, ale w jakimś transcendentnym wymiarze i mnie, podę mną ulica Queen, ulica Królewska, bardzo polska ulica. Nasze tutejsze torontońskie getto, gdzie wszystko kupisz po polsku: salceson i kwiaty, lekarstwo i trumnę, bilet do polskiego kina, w którym właśnie wyświetlają dramat sprzed wojny „Skłamałam“, oraz wydają polską gazetę.

Ulica Królewska. Nie taka wspaniała jak tamta, warszawska, a jednak — do niej podobna. Tylko nie do tej, chyba z motylego 20-lecia naszej beztroskiej wolności, ale raczej ta (znana już tylko z opowiadań dziadków — Królewska ulica Kostrzewskiego, manifestacji pod pomnikiem Mickiewicza (jakże małe małe była Warszawa, jak blisko leżało Krakowskie Przedmieście od

KLARA EVANS

tamtej Królewskiej) i ... kozaków na koniach

Stoję przy oknie i patrzę na ulicę Queen. Wiem dobrze, co się za chwilę będzie na niej działo: oto pomiędzy wspaniałym Cadillac'em a obłocnym tramwajem, pomiędzy sygnałami ruchu, światłami, przejściami dla pieszych, przedelfiluje za chwilę wspaniała para: na gniadych koniach, w długich płaszczach, wciętych w pasie, w czapkach karakułowych, wyniośli, wspaniali, przywarci jak statuy do tańczących po miejskim bruku koni wyłonią się postaci z Kostrzewskiego: dwóch zawodniackich kozaków w tym innym znaczeniu słowa: „ot kozak z niego na schwał, wspaniały chłopiec“... Kanadyjczy Kozacy na polskiej Queenie to dumna i dzielna Royal Mounted Police, odprawiająca swój codzienny patrol. Podnoszę oczy wyżej, ku przeciwnym dachom. I tu znów Warszawa, ta stara, przedwojenna splywa ku mnie wspomnieniem zaśnieżonych dachów Żurawiej,

# PRZEZ OKNO

Piwnej, Kruczej, czy Świętokrzyskiej. Straszliwy styl fin-de-siecle panuje tu nadal, panoszy się gotyckimi wieżyczkami, oknami-basztami, fidrygałkami z żelaza i drzewa: nenufary, secesyjne kogutki-piorunochrony, żelazne okucia tam, gdzie ich być nie powinno, okapy i gzymсы. Jeden dom małeńki, pewnie jeszcze farmerski, kiedy na Queenie pasły się krowy, a obok — wielkopański z lat „gorączki złota“, gdy można było sobie wystawić pałac ze sztukateriami po 3 miesiącach pobytu nad Klondike.

Śliczni chłopcy na ślicznych koniach — przejechali. Jakaś naiwna myśl, depozyt-tradycja myśli przodków, przelatuje przez głowę: ich można się bać. Jakże silne jest poczucie naszej wciąż jeszcze nieskończonej niewoli, jeżeli na widok tych życzliwych stróżów bezpieczeństwa dalej myślimy o lęku, my, już urodzeni w wolności.

Za chwilę przejdzie na w skos, tam gdzie przechodzić nie wolno — nasz polski wariat z torontońskiej Królewskiej. Ubrany w czapkę z nusznikami, w fufajkę, godną syberyjskiego chłopca, w olbrzymich onucach, przedzierać się będzie między trolleybusami, dwoma skrzypiącymi wozami przedpotopowego „streetcar“, na drugą stronę ulicy, dążąc niezmiennie o tej samej porze do jakichś bardzo dla niego ważnych spraw. Prawdopodobnie idzie do sądu, „po sprawiedliwość“, gdyż o tym właśnie wykrzykuje głośno co dzień około południa, przechodząc z jednej strony ulicy na drugą, bez celu, zamroczony jakąś straszliwą krzywdą sprzed lat — może tą znał Kołymy, może tą z koncentraka? A może po prostu tą, że oto przyjechał tu niegdyś na owe kanadyjskie „Sasky“ w poszukiwaniu chleba na bezbrzeżnych połaciach Saskatchewanu i nie dorobił się niczego — prócz tęsknoty za tym, sądził, co że rozumiał, na ziemi, z której nie rozumiał niczego?

W bok od naszego Queenu idą równiutko uliczki, jedna za drugą w tak zwanym stylu kolonialnym:

## KREONI I ANTYGONY

ją podobnych, wiążą się w różne grupy i bandy, włóczą się z gitarami bez celu, czekają na Godota i prowokują rzeczników ustalonego porządku, winiąc ich za swój fizyczny i moralny upadek. W gruncie rzeczy tęsknią za wyzwoleniem, wybawieniem, chociażby chwilowym, przerwaniem błędnego koła bez nadziei i nudy. Próbują kryć się za absurdem. Popołniają przestępstwa bez właściwego motywu licząc, że tym sposobem przezwyciężą bytowanie bez celu. Nihilizm wyziera zwycięsko z ich ohydnych postępów. Tak więc ostateczny problem zbłąkanych i zagubionych duszyczek sprowadza się do walki ze Sinnleere, z nihilizmem. Niekonsekwentni moralizatorzy śmieją się z absurdalnego dowcipu, oburzając się równocześnie na wybryki młodych. Tak dowcipy jak ekscesy są wariantami gry nihilizmu.

Za anarchią, kruczają o mistyczną

wolność, etc. ukrywa się twoga przed próżnią i znalezieniem się poza nawiasem odpowiedzialności za losy świata. Sytuacja z pewnością wykorzystywana przez zawodowych anarchistów i różnych towarzyszy podróży, nawołujących do pogrążenia zgniłej cywilizacji Zachodu. Niepomni czyhającego na nich orwelowskiego potwora, naiwnie burzą porządek świata w myśl klasycznych wymagań dynamicznego nihilizmu. Szukają drogi po omacku i wpadają w najgorsze, ślepe zaułki. Nie zdają sobie sprawy za czym właściwie tęsknią. Być może za czymś przyziemnym, wręcz rynsztokowym. Ujął to odważnie, przed stu laty, na długo przed narodzinami psychoanalizy, niemiecki dramaturg Gerhard Hauptmann: Das ist die Sehnsucht nach dem Dreck. (To jest tęsknota za błotem).

Fryderyk Goldschlag



# INNEGO ŚWIATA

niewielkie, jednopiętrowe, z werandką na kolumnkach, która tu się nazywa „porchem“. Czasami w „porches“, te co u zamożniejszych, są oszklone i na nich wówczas odbywa się intratny, czysto polski interes, którego próżno by chyba szukać pośród paryskiej czy angielskiej emigracji: krawcowa: przerabia, szyje, nicuje. Uśmiech mojej krawcowej, gdy dostrzegłszy mnie z „porchu“ wymachuje przez szyby kawałkiem złotej lamy na przywitanie (a ja właśnie idę odebrać od niej poszewki z perkalu) — to już nie uśmiech z warszawskiej Królewskiej. To moje dzieciństwo błogie i sielskie i do prawdy, a wiary siłą wiary w dobroć życia. Taki uśmiech otulony zmarszczkami wkoło ust i oczu miała Emilka, przynosząca poziomki z nowogródzkiego lasu w olbrzymim, glinianym dzbanie. Pani Kasia oddaje mi poszewki, tłumaczy, że „dziurki się źle obdziergały“, bo ten od Siemens, oczywiście, nie Polak, bo swój by nie zawiódł, nie przyszedł na czas na „maintenance“.

„Pani tu nowa — powiada pani Kasia wdychając — niech się pani nigdy nie zadaje z „innostraciami“... A Włosi to już najgorsi...“

Na bocznych uliczkach przy Queenie wciąż jeszcze wiszą wezwania wyborcze: nazwiska polskie i włoskie przeważają w tej dzielnicy. Queen należy do okręgu Parkdale i z tegoż Parkdalu wybraliśmy sobie naszego polskiego posła — doktora Stanleya Haidasza. Pani Kasia i ja wdychamy nad naszymi włosko-kanadyjskimi braćmi: ona, że nie przyszedł na „maintenance“ maszyny, a ja, bo są mi bliscy. Wychodząc od pani Kasi zajdę do włoskiego owocarza, rodem z Palermo. Zagadam do niego tych kilka słów co tam potrafię w jego własnym języku, wybierze mi najpiękniejsze jarzyny, sprzeda taniej, bo „signora zna moją ojczyznę. Signora wie, że Florencja to miasto, a że Michał Anioł to nie żaden święty...“ A może dodaje włoski zielniarz, czyniąc jednak dyskretny znak krzyża przeciw urokom „od świętych“ nasz Michał Anioł był lepszym

synem Bożym od jakichś tam ich misjonarzy, którzy przyszedli tu wdzierać ziemię Indianom?... Niezupełnie tak było, więc nie odpowiadam. Wspominamy jeszcze Capri i Colosseum. Dostyc na dzisiaj europejskiej tęsknoty.

I tak przedpołudniowy akt na Queenie się kończy. Zaraz nadejdzie czas na wyskoczenie z biura na miasto, do domu na półgodzinną przerwę obiadową. Wybiegam z upału na suchy chłód, który od razu uderza jak obuchem. W pierwszej chwili trudno jest chwycić oddech, a zaraz potem falą powietrza, w którym wymarły chyba wszystkie zarazki od mrozu, napełniają mi się płuca jakimś poczuciem swoistej, innej od wszelkich europejskich zrywów — energii.

Więc pędzę do domu. Znajduje się on o 3 minuty od mego miejsca zatrudnienia po przeciwnej stronie uliczek o kolonialnych „porchach“. Wchodzę w szeroką Avenue. Po obu jej stronach — wspaniałe apartamenty. Jeszcze nie drapacze chmur, co to, to nie, na Queenie, w każdym razie — jeszcze nie, ale mamy już tu pokaźne 11-to piętrowe budowle. Po drodze trzeba coś kupić na zaimprovizowany codziennie lunch, bo czas w Toronto jest droższy nawet od złotego piasku znad Rabbit Creek, Bonanza czy Klondike. Tu czas jest bezcenny. Wpadam więc po drodze do sklepu samoobsługowego. I jak zawsze, a przecież „wpadam“ tu co najmniej trzy razy na tydzień, zdumiewa mnie ta jakichś kosmicznych rozmiarów kornukopia wszelkich ziemskich dóbr. Zieleń jarzyn, słońce kalifornijskich pomarańcz, polskie kiełbasy, hawajskie guawy, chińskie „chowmien“, cielęciny, kapłony, nóżki, skrzydła, piersi indyckie i kurze, camanberty i austriackie kwargle, czekolada Sucharda i torty z lodów. Siedem odmian mleka, jajka jakby je znosiły strusie, złocisto-pomarańczowe łososie kanadyjskie na wszelkie sposoby: pieczone, wędzone, surowe, mrożone, świeże, z sałatką, z majonezem, z pietruszką, a wszystko to ozdobione opakowaniem

jak księżniczka na bal. Czasami kupuje się tu dosłownie — dla opakowania. Uśmiechnięte kasjerki, wytresowane, że klient to Bóg, tak że chyba muszą nosić specjalny uśmiech nawet i w domu, we śnie, pakują zręcznie moje skarby do torby. „Gdzie twój samochód? — pytają czule — zaraz chłopiec poniesie ci to wszystko do auta.“ Zaprzeczam, nie, nie mam samochodu, zataszczę wszystko sama, mam niedaleko... „Poor thing“ wrywa się ślicznej dziewczynie, która zaraz czerwienieje. „Pani tu niedawno? Skąd? z Polski? Ach, z Anglii... tam też podobno bieda? A ja jestem Estonka, moja koleżanka przy drugiej kasie to Jauntrite — Łotyszka. Dobra dziewczyna, ale bardzo samotna, bo rodzice, wie pani...“ Ale samochód, „do niego człowiek dorabia się szybko. Niech się pani nie martwi...“

Nie martwię się i wyczołguję się ze sklepu obarczona trzema torbami. Wiem, że każdy kto nie ma auta — to parias, albo człowiek buntujący się przeciwko istniejącemu porządkowi społecznemu. Nie czuję się pariasem, a jeśli buntuję się przeciw czemukolwiek w tym kraju, który już jest państwem, a jeszcze nie jest narodem — to tylko przeciw własnej europejskiej tęsknocie.

Chciałabym powrócić jeszcze w jakimś jednym czy drugim artykule do spraw polsko-kanadyjskich; ku pochwałę i ku przestrodze. Każda emigracja jest zagadnieniem bardzo skomplikowanym zarówno psychicznie jak i fizycznie, a emigracja pozaeuropejska tym bardziej. Emigracja do Kanady jest intelektualnie łatwiejsza niż np. do U.S.A. Ale, żeby każdą przeboleć i przyjąć należy najpierw, po krótkim czasie wchłaniania w siebie nowo otaczających nas mores i natury, wyemigrować w głąb siebie. Dopiero po takich wewnętrznych rekolekcjach możemy dojść do zgody i z sobą samymi i z otaczającą nas rzeczywistością.

Zacząłam od polskiej ulicy Królewskiej w Toronto, gdyż na niej powstały największe fortuny naszych rodaków; tu znajduje się najlepsze polskie pismo etniczne Kanady — „Związkowiec“. „Z Queenu powstałam i na Queen powrócę“, powiedział mi kiedyś bardzo sympatyczny ze-

(Dokończenie na str. 16)

## KSIĄŻKA O WOJNIE

„... My grzeszni,  
 my zmęczeni,  
 my obszarom wydani,  
 my zamarłej przestrzeni na żer  
 żywcem rzuceni,  
 my wyjęci spod prawa,  
 z człowieczeństwa wyzuci,  
 my deptani jak trawa,  
 zaganiani i szczuci —  
 my nędzarze zawszeni,  
 my co głód nas oglupia,  
 my rzesza bezimienna  
 do dna krzywdą otruta,  
 my brudni,  
 my obdarci,  
 my aż śmieszni chwilami,  
 my pocieszni,  
 my grzeszni  
 Ciebie Boga błagamy,  
 Coś jest Wierny i Żywy,  
 Jeden i Niepodzielny  
 — Święty Boże,  
 — Święty Mocny,  
 — Święty a Nieśmiertelny  
 zmiłuj się nad nami!...

Beata Obertyńska — „Suplikacje“.

W roku 1968 ukazało się w Chicago drugie wydanie książki Beaty Obertyńskiej (Marty Rudzkiej) pt. „W Domu Niewoli“.

W posłowie opowiada autorka dzieje powstania tej pierwszej relacji o losach Polaków zmiecionych jak śmiecie z naszych Ziem Utraconych w latach 1939/41 i miotanych po olbrzymim kontynencie ZSSR, z których drobna tylko część doznała łaski wyzwolenia.

„Książkę moją“ — mówi ona — „zaczęłam pisać w roku 1942 w Palestynie, kiedy wszyscy, którzy wyszli z Rosji, wezwani zostali do spisania swych wspomnień, ale lwia jej część powstała dopiero w Południowej Afryce, w Johannesburgu. Skończyłam ją w Londynie, jeszcze pod bombami, a wyszła z druku w roku 1946“.

Książka została w ciągu tych 23 lat wyczerpana. Przełożono ją na języki: niemiecki, szwedzki i holender-

ski. Przekład angielski dokonany przez p. Eileen O'Rourke, nie znalazł jeszcze nakładcy. A szkoda bardzo, bo właśnie Anglosasom, zwłaszcza zaś młodzieży anglosaskiej, jest ta książka najbardziej potrzebna. 53 lata upłynęły od powstania ZSSR, dziesiątki milionów zginęły i giną jeszcze w niewypowiedzianych cierpieniach przy tym wykuwaniu „ojczyzny proletariatu“, a miliony ludzi w wolnym świecie nie zdaje sobie ciągle jeszcze sprawy, czym grozi człowiekowi komunistyczny imperializm.

Drugie polskie wydanie książki wyszło jedynie dzięki zachęcie i pomocy przyjaciół autorki i dzięki życzliwym subskrybentom.

„Gdyby chodziło o inną książkę, korzystanie z 'dobroczynności prywatnej' byłoby raczej kłopotliwe“ — pisze autorka — „ale ta książka nie jest 'moja'. Pisała ją historia. Pisała ją krzywda i cierpienie ponad milionowej rzeszy Polaków, rzuconych 'na przemiał' w zatajoną głąb rosyjskiej ziemi, skąd część nas za ledwie wyszła z życiem.“

Ja złożyłam jedynie o tym co widziałam, szczegółowy 'raport', zawierający prawdę — prawdę i nie tylko prawdę“.

Autorka pomniejsza tu zasięg swego raportu. Panorama, którą stworzyła, epopeja, którą napisała, obejmuje losy nie tylko zagnanych do Rosji przez wojnę Polaków, ukazuje coś znacznie więcej: trwający do dzisiaj proces walki z człowieczeństwem wszystkich narodów wchodzących w skład imperium rosyjskiego, a i tych także, które zostały niebacznie oddana przez Zachód w „sferę wpływów“ sowieckich. Tych wszystkich narodów, na których ziemie mogą bezkarnie wtoczyć się czołgi z czerwoną

gwiazdą, aby przywrócić „rewolucyjny“ porządek.

Słowa „na przemiał“, użyte przez autorkę w posłowie, oddają dokładnie proces, któremu poddany jest każdy człowiek, nie tylko Polak, w totalitaryzmie komunistycznym. W olbrzymiej, bezustannie mielącej maszynie, miadżdzy się ludzkie człowieczeństwo: godność osobistą, poczucie własnej wartości, prawo decydowania o swym losie, myśl niezależną i wolną twórczość. Służą po temu liczne i wypróbowane środki: więzienia o nieludzkim zagęszczeniu, tortury, brud, i robactwo, głód i przemieszanie ludzi kulturalnych z szumowinami społecznymi, przerzucanie setek tysięcy ludzi w bydłych i zaplombowanych wagonach, bez pożywienia i wody, z krańca na kraniec imperium, praca fizyczna i normy przekraczające możliwości nawet fizycznych pracowników, nie tylko zagłodzonych inteligentów, kobiet i dzieci, zimno i pomieszczenia nie nadające się nawet dla bydła, brak opieki lekarskiej w tych strasznych warunkach, władza życia i śmierci nad więźniami, oddana w ręce zupełnych prymitywów ludzkich nierządno okrutników i sadystów, zdemoralizowanych nieludzkimi przepisami, a właściwie zupełnym bezprawiem. Maszyna taka sieka ziarno ludzkie zamieniając je w plewy i bezużyteczny pył. Dzieje się tak każdej jednostce, która dostała się w jej tryby, nie tylko Polakom.

Proces ten obserwowała autorka bacznie podczas swej odysei trwającej dwa lata, która prowadziła od lwowskich Brygidek poprzez inne więzienia drogą na Kijów, Odessę, Charków, Cherson, znów Charków, Artiomowsk, Starobielsk, Tułę, Moskwę, Kotłas, Koźwę, aż do łagru w Workucie. Na całej tej przestrzeni spotykała nie tylko Polaków, ale i ludzi „sowieckich“ i uderzył ją kontrast między naszymi mężczyznami i kobietami, a więźniami innych narodowości. Polacy i Polki, nawet w najgorszej poniewierce, nie tracili poczucia swej odrębności, swej polskości. Nie wierzyli, aby owe odczy-

## PRZEZ OKNO ...

garmistrz, który dawno już wyniósł się z rozpadającego się sklepu do „downtown“ czyli nowoczesnego centrum Toronta. Ten współczesny Spinnoza, zakładając mi szkielko do zegarka dodał: „bo widzi pan z tym Queenem to tak, jak z żydem z Ki-

szyniewa... Mnie tylko na Queenie ćwierkają wróble po polsku...“. Z tym jednak, że na Królewskiej ulicy Toronta w ogóle nie śpiewają wróble. Zjedli je dawno w pasztetach nasi włoscy kompatrioci.

Klara Evans



# WYTOCZONEJ CZŁOWIECZENSTWU

tane im wyroki na 10, 15, 25 lat łągru miały jakakolwiek moc obowiązującą. Żyła w nich nadzieja na rychłe wyzwolenie. Kiedy, w jaki sposób — nie wiedział nikt. Ale wierzyli w opiekę Boga nad nimi. I nie wierzyli w trwałość mocy zła. W przeciwieństwie do nich — „obywatele“ ZSSR byli wypruci z wszelkiej nadziei. Kiedyś spodziewali się, że z Polski przyjdzie dla nich wyzwolenie, potem oczekiwali go od Niemców — wszystko zawiodło. Pozostała świadomość bezsilności i rozpacz.

Już wówczas autorka, choć oddalona od frontu, na którym rozgrywały się losy wojny, zrozumiała, że Hitler popełnił zabójczą dla swej sprawy omyłkę: niewolnicy poczęli bronić swego domu niewoli wobec niebezpieczeństwa gorszej niewoli i eksterminacji. Imperium łagiernicze ostało się. Prostactwa wiara w moc rządów terroru okazała się w tym wypadku usprawiedliwiona. Zdecydowało to o tym, że nie w tym nieludzkim systemie nie zostało zmienione.

Co uderza jeszcze w relacji Beaty Obertyńskiej — to solidarność polska wśród tego morza obczyzny i przemocy. Między kobietami, które nie miały ze sobą nic wspólnego prócz narodowości, zawiązały się przyjaźnie. Silniejsze i bardziej energiczne rozciągały opiekę nad słabszymi, oddawały im czasem swój kawałek chleba i trochę gorącej stawy, co w ówczesnych głodowych warunkach było szczytem ofiarności i bohaterstwa. Gubiły się takie przyjaźnie przy rozdzielaniu transportów i odnajdywały niespodziewanie ku obopólnej radości o setki kilometrów dalej. Później zaś, po amnestii, kiedy z najdalszych krańców Rosji ciągnęły szkielety ludzkie do polskiego wojska, mężczyźni czuli się w obowiązku roztoczenia opieki nad kobietami, nędzarze nad nędzarkami. Tak, jakby nie było tego barbarzyńskiego interludium, a polskie obyczaje obowiązywały nawet tutaj zawszonych, zagłodzonych obdartusów.

Jednak i na tym pogorzeliśku człowieczeństwa, w które zamieniła się

Rosja, dostrzegła autorka płomyki, których nie zdołał wygasić doszczętnie terror, konieczność walki o własny nędzny byt i beznadzieja. Zdarzały się jednostki, które po ludzku usiłowały pomóc większym od siebie nędzaczom. Nie podobna bowiem wytepić w człowieku człowieczeństwa, nawet przy najbardziej zmechanizowanej i bezmyślnej maszynie terroru. Że autorka dostrzegła jednak i zapisała te, nieliczne zresztą w tym zamierzonym i zrealizowanym piekle, odruchy ludzkie, należy się jej wdzięczność.

Zdumiewające jest również, że w tych potwornych warunkach zachowała ona wrażliwość na piękno przyrody, że umiała się zachwycać zorzą polarną, wschodami i zachodami słońca, grą światła na masywie Uralu. Później zaś, w powrotnej drodze, która zaprowadziła ją aż do Uzbekistanu, rozkochała się w architekturze uzbeckiej wioski, cudownie spatynowanym, srebrzystym od starości drzewie i w formach o tak nieskazitelnej, archaicznej dawności, że — jak pisze — „zawiało ku mnie wyraźnie Iliadą i Homerem, czas wahał się raptem o parę tysięcy lat wstecz, zrobiło się zupełnie 'gdzie indziej', nie teraz i nie tu“.

Ta wrażliwość na piękno w każdej postaci i w każdym choćby najbardziej przez ludzi zohydzonym miejscu sprawia, że książka mówiąca o sprawach bardzo smutnych, nie jest całkowicie przygnębiająca. Bo Beata Obertyńska jest poetką i ma artystyczne spojrzenie na świat.

Współczuciu dla cierpienia owej „zakluczonoj“ zawdzięczamy, że wiele ofiar ludzkich, pochłoniętych przez tundrę, Amu Darię, dorosłych i dzieci zżartych przez gruźlicę, szkorbut, tyfus, wrzody — i jakie tam jeszcze choroby zrodzone z głodu, zimna, pracy nad siły i brud wraz z robactwem — że wiele ich pozostanie w pamięci ludzkiej na zawsze, że nie znikną bez śladu po tym wszystkim, co przecierpieli.

Opuszczając ów nieszczęsny kontynent, na którego olbrzymiej przestrzeni zabrano ludziom Boga, a da-

ño w zamian piekło na ziemi, myśli autorka słowami Biblii:

„Jam jest Pan Bóg twój, którym cię wywiódł z ziemi egipskiej, z domu niewoli. Nie będziesz miał Bogów cudzych przede mną“.

Opowieść swą zadedykowała Obertyńska „Tym, którzy tam zginęli i giną“.

Że dla angielskiego przekładu nie można znaleźć wydawcy — świadczy to źle o społeczeństwach anglosaskich. Nie chcą narodom swym pokazać, jakie niebezpieczeństwo grozi wolnemu światu od antyludzkich rewolucji barbarzyństwa.

Oprócz szkicu orientacyjnego, który ukazuje trasę tułaczki autorki, oraz kilku wierszy związanych tematycznie z opowieścią „W Domu Niewoli“ (fragmentu jednego z nich użyłam jako motto), zawiera książka spis nazwisk ofiarodawców, którzy złożyli się na Fundusz Wydawniczy, oraz spis przedpłacicieli.

Piękną okładkę zaprojektował E. Z. Sadowski: na czerwonym jak sztandar bolszewicki tle, spoza czarnych drutów kołczastych, zrywają się do lotu białe ptaki.

Krystyna Brzozowska

\*) Beata Obertyńska (Marta Rudzka) — W Domu Niewoli. Wydanie drugie. Nakładem Grona Przyjaciół. Drukłem Dziennika Związkowego. Chicago, 1968. Str. 5 nlb, 491, 1 nlb.

Gryf Publications Ltd

STEFAN KORBOŃSKI

**MIĘDZY MŁOTEM  
A KOWADŁEM**

15 opowiadań, których tłem jest druga wojna światowa. Niezwykłe czasy, niezwykli ludzie nadają tej książce niezwykły koloryt i czynią z niej niezapomnianą lekturę.

Cena 18s., 2.50 dol.

Skład Główny: KSIĘGARNIA S.P.K.,  
20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.

**O** KSIĄŻCE Zygmunta Nowickiego, zatytułowanej „Długa droga“, powinienem był pisać już dawno. Nie dlatego, że łączy nas przyjaźń scementowana przeżyciami bojowymi (to lepsze określenie niż wojenne, w tym wypadku). Powstrzymywałem się dotychczas od pisania o książce majora Nowickiego z tych właśnie powodów, a jeżeli obecnie, mimo oporów, decyduję się omówić jego książkę, to dlatego, że o „Długiej drodze“ nie pisano prawie od jej wydania, a książka zasługuje na uwagę.

Zasługuje na pewno pod wielu względami, ale przede wszystkim pod jednym i na ten właśnie chciałbym zwrócić specjalną uwagę, jako ciekawą charakterystykę autora i tego pokolenia oficerów armii Polski niepodległej, do którego Zygmunt Nowicki należy i które reprezentuje.

Omawiana książka jest dalszym ciągiem jego wspomnień, wydanych w 1963 roku, pod tytułem „Złota klamra“, w których autor opisał swoje przeżycia w Szkole Podchorążych dla Podoficerów w Bydgoszczy, w „klasie“ (że tak powiem) kawalerskiej, do której został przyjęty jako podoficer 10 pułku ułanów Litewskich. We wspomnieniach tych, wyraźnie autobiograficznych, autor kryje się pod pseudonimem Dyonizy Porajski i tego samego pseudonimu używa w równie autobiograficznej „Długiej drodze“. Ta druga część wspomnień Nowickiego poświęcona jest jego służbie oficerskiej w 8 pułku ułanów ks. Józefa Poniatowskiego w Krakowie, wojnie 1939 w Polsce, służbie w Oddziale Rozpoznawczym we Francji w 1940 roku, organizowanym przez oficerów 8 pułku ułanów i będącym tegoż pułku kontynuacją, kreśli dalej przeżycia wojenne w czasie kampanii francuskiej i przygody w czasie przedzierania się do części nieokupowanej Francji, usiłowania wyjazdu z tego kraju do W. Brytanii i wreszcie osiągnięcie tego celu, ale przez słynny obóz hiszpański Miranda de Ebro.

Już sama wymieniona powyżej tematyka jest ogromna i wystarczyłaby na sporą książkę, zwłaszcza, że autor ma doskonałą pamięć, wchodzi w szczegóły i pozostawia na

**ADAM J. DĄBROWSKI**

## WSPOMNIENIA

przyszłość ciekawe i pożyteczne świadectwo przeżyć młodego oficera okresu tak ciekawego jak wojsko Polski niepodległej, formowanie się i walk oddziału polskiego we Francji i wreszcie fragmentu, znanego raczej z opowiadań niż z opisów, przygód żołnierzy polskich, którzy po klęsce Francji zdołali uniknąć niewoli i starali się za wszelką cenę przedostać z Francji nieokupowanej do wojska polskiego w W. Brytanii. Niektóre ustępy tego właśnie rozdziału można by poczytywać za prawdziwy roman d'aventures, gdyby nie były one autentycznym przeżyciem Nowickiego i wielu innych. A ileż było przeżyć jeszcze bardziej fantastycznych, które nie znalazły odbicia w formie wspomnień ich bohaterów.

Ale to nie wszystko. Zygmunt Nowicki przeplata opisy przeżyć i przygód swoich czy też kolegów, reminiscencjami z historii Polski, a szczególnie okresu Polski odrodzonej w 1918 r., dając wiadomości i oceny polityczne tak zagadnień wewnętrznych jak i zagranicznych, naświetlając te drugie oceną sytuacji i wypadków w skali ogólnoeuropejskiej, wreszcie wiadomości i oceny narodowościowe, społeczne, gospodarcze, nie mówiąc już o wojskowych. Być może jest tam nieco naiwności i prostoty rozumowania czy ujmowania wielu tych skomplikowanych problemów przez młodego oficera zajętego codzienną swoją służbą, oddanego całkowicie swojemu zawodowi i jego obowiązkowi, ale jest też chęć utrwalenia tego wszystkiego co za życia autora w Polsce zdarzyło się, co go osobiście radowało czy niepokoiło w czasie jego służby żołnierskiej, co było jego dumą i radością jako obywatela wolnego państwa polskiego, w którym miał szczęście żyć i pracować w umiłowanym zawodzie.

I tu dochodzimy do sedna rzeczy. Nowicki jest dzielnym oficerem. Jeżeli moje świadectwo, zresztą bardzo skromne, może się liczyć, to w dniu rozpoczęcia naszych walk, 14 czerwca 1940 r., przez krótki czas, obserwowałem z bardzo bliska ten

ogromny, jednolity wał kłębiącego się dymu, wśród którego błyskały tylko wybuchy nowych granatów artylerii niemieckiej na odcinku Zygmunta Nowickiego. Z tej ogromnej chmury dymu wybiegł zaszokowany ułan i dopadając rotmistrza Pohoreckiego, dowódcy szwadronu Nowickiego, zawołał, że porucznik Nowicki zabity. Wróciwszy na mój odcinek, spędziłem resztę wieczoru w przekonaniu, że straciliśmy jednego z najdzielniejszych oficerów naszego Oddziału Rozpoznawczego. Dopiero niespodziewane dla mnie spotkanie z nim w nocy, na moście wiosce Altwiller, które Zygmunt Nowicki opisuje na stronie 224, przekonało mnie, że wiadomość o jego śmierci była fałszywa. Nowicki jest również dzielnym człowiekiem. Świadczy o tym jego życie, chęć doskonalenia się i wybiecia się na wyższą pozycję społeczną, jego ambicja wojskowa by być dobrym oficerem, jego znakomita postawa w boju, jego dzielność i twarda determinacja w samotnych wędrówkach po Francji okupowanej, jego nieustępliwość w uprze dołączenia do oddziałów polskich w W. Brytanii. A przy tym wszystkim, Nowicki jest „romantikiem“, jeżeli można go tak nazwać; jakiegokolwiek byłoby wokół niego zmiany, jakiegokolwiek przeżywałby przygody, w radości czy w ciężkich chwilach, gdy kryje się po lasach w czasie swoich wędrówek ku strefie Francji nieokupowanej, czy za

**Z B R O D N I A  
K A T Y Ń S K A**  
W SWIETLE DOKUMENTÓW

z przedmową  
**WŁADYSŁAWA ANDERSA**

Cena: 35/-

**T H E C R I M E  
O F K A T Y N**  
FACTS and DOCUMENTS

Cena: 37/6

KSIĘGARNIA S.P.K.  
20, Queens Gate Terrace,  
London, S.W. 7.



# UŁANA-GRENADIERA

murami więzień lub obozu koncentracyjnego hiszpańskiego — powraca jakże często do wspomnień o starych lepszych czasach. Ież razy spotykamy w trakcie jego narracji te wspomnienia żywe i barwne o czasach pobytu w Szkole Podchorążych w Bydgoszczy, o swoim pięknym 8-ym pułku ułanów, o kolegach i przełożonych, o ułanach, których szkolił na żołnierzy i wychowywał na obywateli, uczył nawet czytać i pisać, o koniach, na których zdobywał nagrody sportowe, o Krakowie i przeżytych tam chwilach promiennych i szczęśliwych.

Książka Zygmunta Nowickiego ma niewątpliwie wartość dokumentacyjną dzięki odtworzeniu bogactwa przeżyć młodego oficera wojska polskiego w ostatnich latach przed wojną i w czasie wojny. Należąc sam do tego pokolenia, ośmielam się twierdzić, że jest to pokolenie tragiczne. Ideowe, głęboko przejęte świadomością, że po tylu latach, po tylu pokoleniach poszło do służby zawodowej oficerskiej w wojsku Rzeczypospolitej Polskiej wolnej i niepodległej pełne najlepszych chęci dania ze siebie wszystkiego co najlepsze dla tego wojska, dla swego oddziału, pokolenie przed którym — zdawało się — świat i przyszłość stały szeroko otworem, wpatrzone z zazdrością w starszych kolegów, którzy mieli szczęście walczyć w zwycięskiej wojnie, pokolenie to zostało zmiażdżone straszliwą klęską we

wrześniu 1939 roku, rzucone do obozów zagłady lub jenieckich, zeszło w podziemie konspiracji z jej wszystkimi wzlotami i również upadkami nieuniknionymi, lub poszło na obywatelną, by kontynuować walkę otwartą i by stwierdzić nad mogiłami tyłu poległych, zamordowanych i zamęczonych swoich kolegów, że zostało niktzemnie zdradzone i sprzedane przez swoich sprzymierzeńców. Był to jakby wspaniały płomień, którego blask zdawał się rozświetlać przyszłość, który został zdeptany w pełni poczucia mocy swego żaru uczucia, ideowości, oddania sprawie oraz swoich możliwości, a równocześnie w poczuciu głębokiego zawodu przedwczesnego stłumienia przez obce siły, wobec których był bezradny. Zawodowo biorąc, była to śmierć całego tego pokolenia, przygotowanego nie tylko duchowo, ale i fachowo do przyszłych swoich zadań i pełnego najlepszych chęci dalszego doskonalenia się. Pokolenie to rozplynęło się w różnych „zawodach“ (trudno o trafniejszy dwuznacznik), jakże oderwanych od swego właściwego, często z kompleksem „zdeklasowania się“, pogrzebana wszelkich młodzińczych marzeń i dojrzałych nadziei na całe życie. Ież talentów, zdolności, możliwości na przyszłość, nabytej i ugruntowanej wiedzy, które mogły służyć i rozwijać się dla dobra narodu, zmarnowało się w tej „służbie“ na obczyźnie?

Ostatnia książka Nowickiego jest najwymowniejszym świadectwem dramatu tego pokolenia. I ten rys omawianej książki jest najwymowniejszy i najbardziej charakterystyczny. Czytając ją chwytny sami na tym, że i my myślimy jak major Nowicki, że i my jakże często powracamy do wspomnień młodości i służby w szeregach, że i my mamy poczucie i znany smak klęski naszego pokolenia w tym niezmiernym morzu goryczy katastrofy narodowej i państwowej. I chociaż Zygmunt Nowicki, uświadamia nam naszą klęską życiową, to musimy mu być za to wdzięczni. Bo on, jeżeli nawet nie pierwszy, to chyba

najsilniej uwypuklił w swej książce ten dramat jeszcze jednego pokolenia młodej kadry młodego wojska polskiego. Równocześnie zasługą jego i to ogromną jest, że zrobił to nie drogą oskarżeń i narzekań, nie taniej demagogii i szerzenia niechęci czy nienawiści, ale odtwarzając nam przez swe wspomnienie czym byliśmy i pozostawiając niedomówioną myśl, czym być mogliśmy. Jeżeli nawet zrobił to podświadomie, wynik jest tym mocniejszy, tym wymowniejszy i realizm losu pokolenia tym bliższy prawdy.

Adam J. Dąbrowski

BIBLIOTEKA „KULTURY“

FRANCISZEK KALINOWSKI

LOTNICTWO POLSKIE

W W. BRYTANII

(1940—1945)

Obszerny zarys historii Lotnictwa Polskiego z lat 1940/45, opracowany na podstawie źródłowych materiałów polskich i angielskich. „Battle of Britain“ — pomoc lotnicza dla Kraju, ze szczególnym uwzględnieniem Powstania Warszawskiego. Zestawienia statystyczne wysiłku bojowego każdego rodzaju lotnictwa, zwycięstw dywizjonów i indywidualnych, straty w poszczególnych rodzajach lotnictwa. Indeks zawierający ponad 1.000 nazwisk.

Cena: 60 sh. — 7.50 dol. — 36 F.

Księgarnia SPK,

20, Queens Gate Terrace,

LONDON, S.W. 7.

Kazimierz Schleyen

LWOWSKIE GAWĘDY

Cena: 30 sh.

Do nabycia:

Księgarnia SPK

20, Queens Gate, Terrace,

LONDON, S.W. 7.

Nowość!

Nowość!

## HENRYK SKOLIMOWSKI POLSKI MARKSIZM

Rewelacyjna praca wybitnego uczonego omawia walkę filozofów marksistowskich z filozofami nie-marksistowskimi w okresie stalinizmu i jej wpływ na ogólny rozwój marksizmu w Polsce i jego czołowych przedstawicieli jak Kołakowski i Schaff.

99 stron, kolorowa okładka

Cena: 15s. — \$2.00

Do nabycia we wszystkich księgarniach oraz u wydawcy

**Odnova Limited**

27, Hamilton Road, Bedford Park,  
LONDON, W. 4.

# Przegląd spraw wojskowych

**SOWIETY.** Choć osłonowe siły sowieckie nad granicą chińską zostały w ciągu ubiegłego roku wzmocnione i niedawno utworzono tam dodatkowy 16-ty okręg wojskowy („środkowo-azjatycki“) z m.p. dowództwa w Alma Ata, siły sowieckie na satelickim przedpołu Z.S.R.R. w Europie bynajmniej nie zostały osłabione. Podług londyńskiego „Instytutu studiów strategicznych“ składają się one, poza potężnym lotnictwem i licznymi wyrzutniami rakiet taktycznych i średnich, nadał z 32 dywizji o wysokich stanach i nowoczesnym uzbrojeniu, spośród których 20 stacjonuje w Niemczech Wschodnich, 5 w Czechosłowacji, 4 na Węgrzech i 3 w P.R.L. Gdy do tej masy dodamy ponad trzydzieści dywizji tych 4 państw satelickich, coraz nowocześniejszej uzbrajanych, oraz dodatkowe dywizje sowieckie mogące szybko napłynąć z Rosji zachodniej, ogromna przewaga sił „układu warszawskiego“ zwłaszcza pancernych na środkowym odcinku europejskim wypukli się do reszty, choć potęga ogniowa niektórych dywizji zachodnich jest większa. Niestety, nie tylko nie zanosi się na wzmocnienie konwencjonalnych sił „atlantyckich“ na tym odcinku, ale już się rozpoczęła redukcja kontyngentu kanadyjskiego i, co ważniejsze, grozi dalsze osłabienie sił amerykańskich w 1971 roku i dalsze pozostawanie sił francuskich (przynajmniej w czasie pokojowym) poza NATO. Na domiar złego, grudniowa konferencja rady NATO wypowiedziała się za ograniczeniem (w razie agresji) stopniowej riposty atomowej początkowo do satelickiego przedpołu Z.S.R.R., choć ta koncepcja jest skandalicznie niemoralna i pod kątem skutków psychologicznych szkodliwa, nie mówiąc już o tym, że osłabia skuteczność działania retaliacji jako odstraszała dla Moskwy.

W tych warunkach zakrawają na kpiny słowa warszawskiego ministra obrony, gen. Jaruzelskiego, skierowane do jego odpowiednika moskiewskiego, marsz. Greczko, podczas jego niedawnego pobytu w Polsce, że „wobec nieodrodnej imperialistycznej natury skłonności Zachodu do agresji konieczna jest w obecnej sytuacji nieustanna czujność“.

Marsz. Greczko odwiedził zresztą (i to w towarzystwie wyjątkowo licznych generałów i sztabowców) za jednym zamachem także Niemcy Wschodnie, choć inspekcję tamtejszych wojsk sowieckich przeprowadził stosunkowo nie-

dawno, bo w kwietniu 1969 r. Fakt, że zarówno w Warszawie jak i w Pankow przeprowadzał długie rozmowy, przemawia za tym, że jego wizyty nie były tylko kurtuazyjne czy krajoznawcze, choć w Polsce odwiedził m.in. Szczecin i Bielsko, którego jest honorowym obywatelem jako jego „oswobodziciel“. Skoro o tym obecnie 66 lat mającym olbrzymie mowa, warto nie tylko przypomnieć, że od 1953 do 1957 był on dowódcą sił sowieckich w N.R.D., a od 1960 do 1967 roku naczelnym dowódcą sił zbrojnych państw należących do układu warszawskiego i że marszałkiem został już w 1955 roku. Warto także jako ciekawostkę przytoczyć, że jako 16-letni chłopak wstąpił do I. konnej armii Budiennego i brał udział w jej zagonie w głąb Polski w 1920 roku, więc w latach 1944/45, gdy dowodził 1 armią, nie po raz pierwszy w jej południowej części wojował.

Dotychczasowy dowódca sił sowieckich w N.R.D., marsz. Koszewoj, został w listopadzie 1969 r. zastąpiony przez gen.-płk. Kulikowa.

Nie tylko flota wojenna, ale także flota handlowa Sowietów rozrasta się, modernizuje i uwija po wszystkich oceanach. Flota handlowa, która po zakończeniu wojny niemal nie istniała, obecnie zajmuje już 5 miejsce w świecie pod względem tonażu (13,7 milionów ton) i ma być do roku 1980 zwiększona do 20 milionów ton. Tak szybki jej wzrost był i będzie możliwy wobec bezwzględного wykorzystywania stoczni satelickich i coraz większej pomocy ze strony stoczni japońskich, jugosłowiańskich, włoskich itd.

Oficjalny budżet resortu obrony został wprowadzie nieznacznie zmniejszony (do 18 miliardów rubli), ale to niczego nie dowodzi, bo, jak wiadomo, sporo pozycji ukrytych jest w innych działach, nie mówiąc już o tym, że zarówno utrzymanie sił zbrojnych, jak produkowanie sprzętu uzbrojenia jest (w porównaniu z Zachodem) daleko tańsze. Dzięki temu mogą Sowiety nie tylko Wietnam Północny i państwa arabskie, ale także różne murzyńskie państwa afrykańskie oraz Indie, Pakistan i Kubę sprzętem uzbrojeniowym wspierać i w ten sposób swoje wpływy i zaczepienia zwiększać. Nie ustają one również w przeprowadzaniu podziemnych wybuchów atomowych, w dalszych próbach podboju kosmosu (ostatnio Breżniew zapowiedział, że za 5 lat będą mieć stację kosmiczną), w powiększaniu swojego tak czy inaczej ogromnego arsenału atomowego i ra-

kietowego, w unowocześnianiu lotnictwa (zwłaszcza transportowego), w szerzeniu w wolnym świecie zamętu i dywersji itd. — przy równoczesnym forsowaniu rokowań rozbrojeniowych i zapewnianiu o swojej pokojowości.

**POLSKA.** W drugiej połowie lutego odbyło się na jednym z poligonów Pomorskiego Okręgu Wojskowego trzydniowe szkolenie kierowniczej kadry sił zbrojnych, prowadzone przez ministra obrony, gen. broni Jaruzelskiego, które miało na celu „dalsze dokonanie umiejętności dowodzenia wojskami w warunkach współczesnego pola walki“. W południowej części kraju odbyły się natomiast, jeszcze w ubiegłym roku, ćwiczenia oddziałów specjalnych Obrony Terytorialnej, w których (poza Milicją i S.B.) wzięły jednostki ORMO, straży pożarnej i wojsk obrony wewnętrznej.

Tak czy inaczej, duży korpus generalski został powiększony przez mianowanie dalszych 8 pułkowników generałami brygady. Ich nazwiska: J. Jaworski, J. Kowalski, H. Michałowski, J. Skalski, E. Soja, T. Sroczyński, K. Stec i W. Szczerkowski. Równocześnie zostali generałami dywizji Zbigniew Nowak i Ignacy Szczęsłowicz.

Kierowany przez Moczara ZBOWiD ma podobno już 3.651 kół i blisko 300 tysięcy członków. Na jego IV. kongres przybyło aż 836 delegatów. Posiada 4 komisje weteranów, m.in. powstańców wielkopolskich i śląskich, ale oczywiście nie ma komisji legionistów i POW-iaków lub weteranów z 1920 r.

Kage

## Biblioteka „Kultury“

seria DOKUMENTY

## KOMUNIZM

## Z LUDZKĄ TWARZĄ

Plan reformy ustroju komunistycznego w Czechosłowacji z r. 1968 zdławiony następnie przez Rosję Sowiecką i nowe kierownictwo stalinowskiej kontrreformacji.

Cena: 18/6 sh. — 2.25 dol. — 10 fr.

## Księgarnia SPK

20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.



# ŁOWCA SYREN

Nazwisko HORATIO HUMPHREY MACLACHLAN zawiera onomatopeiczny dźwięk poszumu morza. Posiadacz tego nazwiska — aczkolwiek jest rodowitym Teksańczykiem, oraz właścicielem szybów naftowych — z wyglądu przypomina postać starego wilka morskiego z powieści Józefa Conrada.

Toteż wcale się nie zdziwiłem, gdy dowiedziałem się, że jego „hobby“ jest związane z żywiołem morskim. Natomiast rodzaj tego „hobby“ jest zdumiewający. Bowiem Mr. MacLachlan poluje na syreny. Tak! — Syreny, po angielsku „mermaids“ — czyli „dziewczeta morskie“.

A właściwie powinienem użyć słowa „łowi“, — gdyż pan Maclachlan nie ma na myśli zabijania. Chodzi mu o ujęcie syreny żywcem. Co prawda prawdziwej syreny do tej pory nie złowił, ale bardzo chciałby, chociażby jeden raz. Temu zadaniu poświęcił już parę lat życia i ma niewzruszalny zamiar kontynuowania swych usiłowań.

To, że jest człowiekiem zamożnym, wielce mu w tym przedsięwzięciu pomaga. Ukończył właśnie długie badania w Południowej i Centralnej Ameryce, — a teraz zatrzymał się w Londynie, w przejeździe do Indonezji. Z tego bowiem rejonu Pacyfiku od paru już lat dochodzą skrawki wiadomości o pojawianiu się syren. A zaczęło się to od doniesienia agencji prasowej „Antara News“, że „schwymano bardzo dziwną istotę morską, która wyjadała rybakom połów z pobrzeżnych sieci morskich“. Wystawiono ją na pokaz publiczny w Bandjarsin — jednym z miast południowego Borneo. Lecz istota ta nie chciała w niewoli przyjmować pokarmu, a tylko przejmująco zawodziła. Po paru dniach zginęła z wyczerpania. Ciało uległo szybkiemu rozkładowi.

Istnieje jakoby w posiadaniu indonezyjskiego Wydziału Rybołówstwa, oficjalny raport tego zdarzenia. Tam, stworzenie to jest podobno opisane następująco: — „Ma tors niewiasty, głowę zwierzęcą z długą jasną grzywą — lecz z obliczem przypominającym twarz ludzką, ręce zakończone błoniastą dłonią, odwłok ryby. Może

wydawać przeciągle dźwięki, stękać i płakać“.

Opis ten jest bardzo zbliżony do opisu typowej, klasycznej syreny. Proszę tylko spojrzeć na herb „syreniego grodu“ — Warszawy. Z tym, — że „warszawska syrena“ nie płacze, a natomiast mieczem groźnie potrząsa. Taką właśnie nosiłem na rękawie munduru w 2-im Korpusie Polskim, na Środkowym Wschodzie i we Włoszech. A zatem w rejonie śródziemnomorskim, który obfituje w legendy na temat syren, względnie „nimf morskich“.

Świat klasyczny wierzył, iż były one córami bogiń rzek Epiru, Achelousa i muzy krasomówstwa, Kaliope. Rezydowały na wysepce koło sycylijskiego przylądka Pelorus.

Aczkolwiek o odwłoku ryby, od pasa w górę miały wygląd czarująco pięknych kobiet. Obdarzone też były tak melodyjnymi głosami, że słuchacze zapominali o wszystkim. Trwali zasłuchani aż powymierali z głodu.

Homer opisał, jak to Odyseusz uniknął syreniej zagłady — przez zaklejenie woskiem uszu załogi okrętu.

Różni starożytni autorzy umieszczają syreny bądź to na Capri, bądź na wysepkach przy wybrzeżu w Kampanii, czy też na Lampeduzie, względnie na wysepkach Peloponezu lub Lewantu. Niektórzy nie wspominają piękności ciała lub głosu, a przeciwnie — podkreślają odrażający wygląd syren, oraz krwiożercość ich natury. Oprócz Homera pisali o syrenach: Horacjusz, Owidiusz, Ammianusz, Pausanias, Strabo, Apollodius, Italicus, Julius Obsequens i wielu innych. Były też wzmianki i klechdy o syrenach podczas średnowiecza, renesansu... i aż do czasów najnowszych.

Jeden z obecnie czołowych pisarzy włoskich, Curzio Malaparte — twierdzi, że w roku 1944-ym żołnierze amerykańscy wyłowili z neapolitańskiego basenu właśnie syrenę. Następnie ugotowali ją w majonezie, przybrali listkami sałaty i podali na przyjęciu wyższych oficerów. Byli też zaproszeni goście, a między nimi Malaparte, — który tak to opisał:

„Po raz pierwszy w życiu widzia-

łem ugotowaną dziewczynę i podaną na tacy. Mięsałem zdławiony jakimś lękiem bożym. Skóra była miejscami naruszona rozdarciem czy też gotowaniem — zwłaszcza na ramionach i biodrach. A w rozchyleniu tych pęknięć widniało srebrzyste, a miejscami złocisto-żółtawe delikatne mięso. Pod wpływem gotowania, twarz wyzwoliła się spod obcisłej skóry, niczym przejrzały owoc ze swej skorupiej powłoki. Przypominała lśniąca figurę ze starej porcelany. Usta napuszone rozchyleniem, wąskie, wzniosłe czoło, okrągłe zielonawe oczy. Ramiona krótkie, przechodzące w bezpalczaste ręce, — coś w rodzaju płetw. Leżała tak na srebrnej tacy, niczym dziewczyna, która usnęła z otwartymi oczyma. Zdawała się uśmiechać w upojeniu, — jak gdyby śniła o swym morzu, o utraconej ojeździe, o krainie swych marzeń — radosnym królestwie syren...“.

Oficerowie byli tak przejęci tym widokiem, — podaje Malaparte, — że postanowili istotę tę pochować z całą ceremonią, przy asyście kapelana.

Oczywiście, ogół czytelników przyjął wszystko to za wytwór bujnej fantazji. Lecz pan Maclachlan jest innego zdania. Powiada, że rozmawiał raz z dwoma wyższymi amerykańskimi oficerami, — obecnie w stanie spoczynku — którzy twierdzą, iż są naoczni świadkami tego zdarzenia. Są do tej pory pod wrażeniem tego co wówczas widzieli — aczkolwiek z tym kapelanem to przesada.

Basen śródziemnomorski nie posiada monopolu na syreny. Jest o nich wiele legendarnych wzmianek i wizerunkowych śladów w Ameryce Południowej i Centralnej. Nie brak tego i w krajach centralnego i południowego Pacyfiku. W Indiach, bóg Wisznu jest często przedstawiany z syrenim ogonem.

„Ludzka wyobraźnia musi mieć pewien prototyp, wokół którego narastają warstwy fantazji. Przytłaczająca większość starych klechd i legend nie jest zupełnym zmyśleniem“ — powiada Mr. Maclachlan. — „Wewnątrz nich, niemal zawsze

znajduje się ziarenko prawdy". O tę prawdę właśnie mu chodzi. Dobrze jest mu znane stanowisko nauki w tej sprawie. Mianowicie to, że podstawą legend są rzeczywiste istoty morskie, — rodziny manatów i diugoniów.

Sama nauka uważa, że w legendach było wiele prawdy. Obszar śródziemnomorski okazał się istotnie praojczyzną syreniego rodu. W roku 1840-ym wykopano w Egipcie w warstwach paleocenu (a więc z okresu odległego od nas o około 70 milionów lat) „zwierzę zarania“ zwane „Eotherium“.

Była to istota lądowo-wodna, a wykazująca już pewne charakterystyczne cechy syren. „Eotherium“ — ciepłokrwisty ssak z pełnym i ostrym uzębieniem — w dalszym rozwoju gatunkowym przystosował się coraz bardziej do życia w wodzie. Równocześnie i stopniowo zmieniał swój kształt w kierunku klasycyzacji syrenim.

Pełny ciąg rozwojowy form syrenich z różnych kolejnych czasokresów, znaleziono w całym basenie śródziemnomorskim. W mniejszych ilościach znaleziono je również w głębi kontynentów Europy i Afryki, wzdłuż wielkich rzek i jezior. To od nich pewnie wywodzi się ta cała plejada legendarnych „rusałek“ i „ondyn“.

W dalszym ciągu ewolucyjnym — w epoce eocenu (czyli ok. 40 milionów lat temu) — istota „Eotherium“ rozwinęła się w dwie oddzielne gałęzie syrenie: właśnie manaty i diugonie. Obydwa te gatunki są ssakami brzegowo-morskimi, aczkolwiek nie były im obce ujścia rzek i niektóre jeziora. Są roślinożerne, łagodne — i tym się głównie różnią od ssaków morskich pochodzenia niesyreniego. To znaczy od waleni, takich jak: kaszaloty, wieloryby, delfiny i tym podobne.

Walenie są ssakami morskimi wyglądającymi jak ryby. Są mięsożerne i zachowały silne i ostre, krwiożercze uzębienie. Natomiast manaty i diugonie są przeżuwaćcami ssakami mającymi tylko odwłok rybi. zakończony jedną poprzeczną płetwą, dwuwachlarzową, podczas gdy przednia część tułowia wraz z głową ma wygląd zwierzęcy, a nawet — do pewnego stopnia - zwierzęco-ludzki. Półkoliste piersi samicy

przypominają piersi kobiece. Każde wzburzenie napędza im do oczu łzawą wydzielinę śluzową. Odznaczają się wiernością i stają do obrony partnera.

Mitologiczna syrena śpiewała, ale manaty i diugonie tylko sapią. Zarówno u manatów jak i u diugoni mięsożerne uzębienie ich przodka „Eotherium“ zanikło już zupełnie. Zamiast zębów istnieje płyta rogowa do rozcierania roślinnego pokarmu.

Różnica między gatunkami polega głównie na tym, że manaty zachowały zdolność do szczątkowego odradzania się zębów trzonowych. Zaś u diugoni pojawiają się kły podobne do ciosów słonia. Ciało pokryte jest bliznowatą skórą o zabarwieniu mięsa. W czasach starożytnych wiele gatunków diugoni pojawiało się często u brzegów Morza Śródziemnego, na Nilu, na brzegach wschodnio-afrykańskich i w wodach arabskich. Nie ma ich teraz w tych ojczyściach im rejonach. Znane były jeszcze trzy inne gatunki: z Morza Czerwonego, z Oceanu Indyjskiego i z wód australijskich. Lecz nawet tam diugonie prawie doszczętnie wyginęły.

Z manatami jest nieco lepiej. Można je jeszcze znaleźć w niektórych rzekach południowo-amerykańskich.

Na amerykańskie manaty pierwszy natknął się Kolumb i tak to zanotował: „W zatoce u wybrzeża Hiszpanioli widziałem trzy syreny. Ale daleko im było do tych piękności jakie opisał stary Horacjusz“.

Potem konkwistadorzy widzieli syrenie manaty na Wielkich Antylach, u brzegów i w ujściach rzek Brazylii, Wenezueli i Gujany. Jest też francuski opis syren widzianych koło Martyniki w roku 1671-ym. W roku 1730-ym, Włoch, Cavazzi, daje opis syren łowionych przez murzynów w ujściach rzek zachodnio-afrykańskich. Takie same „syreny“ łowiono również w jeziorze Czad. Były niemal identycznie podobne do manatów z Południowej Ameryki.

To (i podobieństwa) manatów zachodnio-afrykańskich i południowo-amerykańskich oraz wschodnio-afrykańskich i australijskich diugoni jest jednym z dowodów tezy o „pływających kontynentach“. Udowodnia to istnienie legendarnej „Gondawy“, czyli pierwotnej jednej

masy kontynentalnej. Po jej rozszczepieniu nastąpiło rozsuniecie się obecnych kontynentów, z potomkami śródziemnomorskich syren po obu stronach oceanów.

W ciepłych wodach rozwinęły się na Wschodzie trzy gatunki diugoni, a na Zachodzie trzy gatunki manatów. Dalszy rozwój manatów zdawał się iść nawet na obszary i wody zimne. W roku 1609-ym, Henryk Hudson, w opisie swej podróży po Oceanie Lodowatym wspomina, iż natknął w okolicy Nowej Ziemi na wielką „dziewczynę morską“ czyli „mermaid“. Było to bez wątpienia stworzenie znane później pod nazwą „krowy morskiej“. „Krowy morskie“ znikły niebawem z północno-azjatyckiego wybrzeża. W kilkadziesiąt lat później liczne stada żyły między Kamczatką a Aleutami.

Druga wyprawa morska Virtusa Beringa, w roku 1741-ym znalazła stada „krów morskich“ na wyspach noszących dziś nazwę Beringa.

Zachłanni rosyjscy handlarze futer, rzucili się natychmiast na te tereny — i zaczęli urządzać straszliwe rzezie zwierząt futerkowych. Z tego powodu ilość „krów morskich“ szybko topniała. Niebawem, pojawiały się jedynie w rejonie Podgórze Kronockiego i Zatoki Awaczyńskiej. Wyprawa Iwana Krasilnikowa w roku 1754-ym przerzedziła pozostałe grupy „krów morskich“. Resztki dobiła w osiem lat potem wyprawa Korowina. W roku 1768-ym, Iwan Popow znalazł już tylko jedną jedyłą „krowę morską“ — i także ją zabił.

## Biblioteka „Kultury“

seria DOKUMENTY

WŁADYSŁAW BIENKOWSKI

### MOTORY I HAMULCE SOCJALIZMU

Studium procesów społecznych  
w państwie socjalistycznym.  
Książka, która spowodowała  
usunięcie autora  
z partii komunistycznej.

Cena: 20 sh. — 2.50 dol. — 12 fr.

### Księgarnia SPK

20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W.7.



Adolf Erik Nordenskjöld w roku 1879-ym pozbił już tylko kości tych zwierząt. Zebrał również skrzętnie wszelkie wiadomości i opowiadania. Wynika z nich, że po raz ostatni spostrzeżono „krowę morską“ w roku 1854-ym, z pokładu okrętu, znacznie bardziej na południu, już w wodach ocieplonych. Nikt jej nie ściął i pewnie zginęła gdzieś samotnie.

Nauka uważa, iż wypowiedziała ostatnie trzy zdania na temat syren. Mianowicie te: 1) Syreny powstały w rejonie śródziemnomorskim, lecz różniły się wielce od opisów legendarnych. 2) Jeszcze miejscami istniejące manaty na Atlantyku i prawdopodobnie już nieistniejące diugonie Pacyfiku, są pochodnymi od „Eoetherium“ i syren klasycznych. 3) Prawdziwie reprezentacyjnym nowoczesnym przedstawicielem syreniego rodu były „krowy morskie“, lecz te doszczętnie wyginęły.

Naj i tu właśnie, z ostatnim twierdzeniem Mr. Maclachlan zupełnie się nie zgadza, — a do poprzednich dwóch ma pewne zastrzeżenia. Powiada, że w ciągu ubiegłych stu lat powstało wiele opowiadań i pogłosek o pojawieniu się „dziewczyn morskich“ — „mermaids“, w centralnych i północnych rejonach Atlantyku. Szczególnie wiele zebrał w Islandji i Irlandii. Nie brak ich było w Szkocji oraz z wybrzeża Wali i Kornwalii. Co prawda, niektóre z nich powstały w rezultacie figli różnych żartownisiów. Pierwszeństwo wśród nich przyznaje anglikańskiemu pastorowi nazwiskiem Robert Stephen Hawker. Otóż w roku 1825-ym, Rev. Hawker, w księżycowe noce podpływał cichcem do samotnej skały sterczącej z zatoki Bude (Bude Bay) w Kornwalii. Wdrapawszy się na nią — wdziewał perukę z długich wodorostów, na nogi wciągał syreni ogon z zielonego brezentu, po czym błyskając lusterkiem odbijającym światło księżyca, zawodził przeciągłe melodie. Powtarzał ten kawał przez wiele nocy, ściągając na brzeg tłumy ludzi.

„Tak“ — powiada Mr. Maclachlan — „natura i wyobraźnia ludzka, odpowiadające są za wiele różnych dziwnych historii o syrenach. Ale jedyną nie za wszystkie!“.

Pan Maclachlan zbadał dokładnie większość różnych poszlak i doszedł

do wniosku, że znamienity procent pochodzi od incydentów poważnych. Jak, dajmy na to, że z czerwca 1967 roku. Pokazał mi duży plik wycinków z regionalnych gazet Brytyjskiej Kolumbii. Zastanawia szczególnie wycinek gazetowy z prowincji Victoria, „The Daily Colonist“, pod tytułem „A Genuine Mermaid Seen“. Opowiada o „autentycznej dziewczynie morskiej“ siedzącej na skale niedaleko wejścia do cieśniny Active Pass. Pojawiała się tam parokrotnie, nawet w świetle dziennym. Pewnego razu pasażerowie motorowego promu o nazwie „Queen of Saanich“, w drodze z Sioux City (stanu Iowa), mieli okazję do dokładnego przyjrzenia się tej syrenie. Opisują ją zupełnie na podobieństwo syreny klasycznej: — odwłok ryby z jedną poprzeczną płetwą, torso nagiej kobiety, długie białe włosy zasłaniały oblicze. Co prawda nie śpiewała, natomiast obgryzała potężnymi kęsami dużego łososia.

A jest to zaledwie jeden z wielu podobnych raportów, pochodzących przeważnie z rejonów centralno-północnego Atlantyku, oraz ze środkowego Pacyfiku. „Właśnie“ — powiada pan Maclachlan — tam obecnie koncentruję me poszukiwania i badania. Mam przed sobą dwie możliwości. Jedną, iż „krowy morskie“ nigdy zupełnie nie wyginęły, a teraz odradzają się ilościowo i dlatego bywają zauważane, ożywiając legendy. Druga możliwość wynika z ciągle powtarzającego się szczegółu o spożywaniu ryb. Podczas gdy wiemy, że zarówno diugonie jak i manaty (wraz z „krową morską“) są roślinożerne. Zadaję sobie pytanie czy czasem nauka nie przeoczyła jeszcze trzeciej gałęzi syreniego rodu. Gałęzi wywodzącej się w prostej linii od Eoetherium“, który odznaczał się pełnym i ostrym uzębieniem mięsożercy.

Do tego dochodzi ten stale powtarzający się szczegół o syrenim śpiewie. Ale my przecież wiemy, że manaty i diugonie co najwyżej sapią.

Natomiast spośród walonów — ostatnie badania wykazały — delfin potrafi wydawać zróżnicowane i modulowane odgłosy, a nawet czasami coś w rodzaju przeciągłego gwizdu. Jest on niezmiernie inteligentnym ssakiem morskim, szukającym i lubiącym towarzystwo ludzkie. Co

więcej, delfiny wykazują nawet wyraźną chęć do inteligentnego porozumiewania się z ludźmi.

Dodajmy tu jeszcze trzeci szczegół, mianowicie ten o długich i jasnych włosach na głowach syren. Niezmiernie, od czasów zamierzchłych aż do dnia dzisiejszego, powtarza się to.

„Ja zakładam, że prawdziwe klasyczne syreny mogą istnieć. Niezmiernie inteligentne dziewczęta morskie“, z którymi można by było porozumiewać się. Pewnego pięknego dnia — znajdę je!“.

Na zakończenie rozmowy życzyłem panu Maclachlanowi, aby w roku 1970-ym znalazł wreszcie piękną złotowłoską „morską dziewczynę“.

„Yes sir!“ — odpowiedział. — „Thank you. — Ale czułbym się uszczęśliwiony nawet i brzydką ‘krową morską‘.“.

Antoni Szachnowski

## BIBLIOTEKA „KULTURY“

WITOLD GOMBROWICZ

### FERDY DURKE

Tom I-szy

„Dzień zbiorowych“

niedawno zmarłego Autora

Cena: 40 sh. — 5 dol. — 24 F.

Księgarnia SPK,

20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.

Do doskonała książka na nagrody młodzieży w szkołach przedmiotów ojczyistych

## ICH MŁODE LATA

JADWIGI OTWINOWSKIEJ

Opowieść o chłopcach z Legionów

Cena: 9/-

KSIĘGARNIA S.P.K.

20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.

Dobry uczynek —  
zachęcić przyjaciela  
do prenumerowania  
„ORLA BIAŁEGO“

**K**APELUSZĘ z głów panowie, oto geniusz!“ — powitał olśniony Schuman okazję opublikowania jednych z wariacji Chopina. Życie człowieka tak pełnego głębokich uczuć i prześladowających go do końca myśli i niepokojów, zostawiło niezatarty ślad w jego sztuce trafiającej swym wyrazem z niesłabnącą siłą do wszystkich, zdolnych do przejścia się wielkością serca i umysłu artysty, o którym tak często mówi się, że jest uosobieniem smutku. Życie to zaczęło się szczęśliwie i beztrudnie, a wczesne lata przynosiły jasne momenty życzliwości i wielkiego uznania dla zdolności i wrażliwości duchowej młodego twórcy; momenty zatarte później przez lata pełne cierpienia i wewnętrznej walki. Od samego początku, od tych niezamkniętych zdawało się się żadnym nieszczęśliwym chwil, Chopin zaskakiwał i urzekał. Gdy miał 7 lat wydano jego krótki polonez g-moll, a w tym samym roku jego marsz publicznie wykonuje orkiestra wojskowa wielkiego księcia Konstantego. W styczniu roku 1820 pierwsza wtedy sopranistka Europy, dumna Angelica Catalani, słysząc go grającego w uniesieniu wręcza 10-letniemu chłopcu złoty zegarek z inskrypcją. W kilka lat później 15-letni Fryderyk improwizuje przed majestatem — poruszony car Aleksander ofiaruje młodzieńczemu artyście diamentowy pierścień. Prawie trudno uwierzyć, że były takie radosne, niezakłócone i triumfalne dni, gdy widzi się zastygły w twarzy dramat z obrazu Delacroix.

Wewnętrzne napięcie i niepokój, jakie biją z tego portretu, musiały być jeszcze obecne kompozytorowi w okresie jego warszawskiej młodości, która z artystycznego punktu widzenia była dla niego decydująca. Tutaj ukształtował się jego styl, tutaj rozmiłował się w elegancji i kurtuazji salonów, tutaj w latach 1826-1829 ukończył konserwatorium, tu wreszcie po raz pierwszy nazwano go kompozytorem narodowym. Warto też w tym miejscu zaznaczyć niemałą zasługę Elsnera, że wystarczająco szybko zorientował się w twórczym potencjale swego ucznia i nie nalegał na estetyczny czy kompozycyjny konformizm w jego

## JAREMA KORCZAK

# CHOPIN

muzyce. Zagraniczny debiut Chopina, który miał miejsce w wiedeńskim Kärntnert Theater w sierpniu, w roku ukończenia jego studiów w konserwatorium, przyjęto z uznaniem i zainteresowaniem, gdyż zarówno jego występ jak i polskie motywy przez niego grane były nowością. W efekcie kompozytor poczuł się pewniej, a po powrocie do swej stolicy przystąpił do intensywnej pracy i jako rezultat zaprezentował Warszawie swoje dwa koncerty fortepianowe w marcu i wrześniu następnego roku. Gra jego i kompozycje wywołały burzę gorącego entuzjazmu i szczerego podziwu. „Chopin wie, co słyhać na naszych polach“ — pisała ówczesna gazeta warszawska, której dziennikarza poniósł patriotyczny zapal. „Przeznaczenie dało Chopina Polakom, jak Mozarta dało Niemcom“ — głoszą inne wiersze pełnej zachwyty dziennikarskiej prozy z tego czasu. Ostatnie stwierdzenie zresztą, sam Chopin instynktownie w swej skromności nazwał „oczywistą bzdurą“. Niemniej i on czuł wtedy, że nadszedł czas dla niego, by wraz ze swą sztuką spojrzeć w twarz szerszemu światu. Tutaj kończył się jego bezpieczny i względnie spokojny okres życia, a planowany wyjazd stał się początkiem tułaczki, a zarazem pełnego obcowania z ówczesną awangardą artystyczną w szukającej nowych dróg Europie.

W wędrówkę swego życia wyruszył Chopin pełen nadziei, ale zarazem i pewnej dozy nieśmiałości, gdyż słusznie spodziewał się, że pojawienie się kompozytora z kraju bez żadnej tradycji muzycznej, jakim była Polska, a przy tym kompozytora, który niemal ekskluzywnie poświęcił się podbojowi uprzywilejowanego instrumentu stulecia — fortepianu — musi wywołać silne, choć może sprzeczne reakcje. Wtedy na samym już początku zaczęły się jego niepomyślne przeżycia. Wiedeń okazał się tym razem zimny i niechętny, chociaż dla poeci stwierdził Chopin, że Thalberg nie góruje nad nim techniką.

Niedługo zaś potem wiadomość o upadku powstania i rosyjskich okrucieństwach w Polsce na pewien czas sparaliżowała duchowo kompozytora, którego przedłużony i nie przynoszący pobyt w Wiedniu jest dowodem tego ciężkiego stanu psychicznego, jakiego doświadczać miał odtąd do końca życia. Dopiero opuszczenie tego miasta i dalsza podróż wraz z dalszymi celami i zadaniami przyniosły mu ulgę, gdyż zmusiły go do czynu, a przed nim otwierał się nieznaną jeszcze i palający dziełem tworzenia świat.

Zamierzona na początku podróż do Londynu przerwana została w Paryżu, gdzie nieśmiałość Chopina okazała się chwilami jeszcze większa. Tutaj bowiem wrzała owa nieposkomiona myśl epoki, słusznie czy niesłusznie, zwana „romantyzmem“ — w całej pełni szturmując tradycyjną dogmatykę w sztuce, filozofii, religii i wszędzie, gdzie myśl ludzka położyła twarde reguły historii. Nowopowstała monarchia Ludwika Orleańskiego trwała jeszcze w niepewnym, płynnym stadium kapryśnej przemiany. Koła muzyczne natychmiast zainteresowały się Chopinem, choć w większości byli to, jak i on, młodzi artyści. Wśród nich zdobył sobie pełne zapału uznanie zanim poczynił jakiegokolwiek poważne kroki, by pozyskać również szersze kręgi słuchaczy. Wynikiem tego przyjęcia w grono twórcze muzyków było jego zapoznanie z takimi postaciami w dziedzinie klawiatury jak Johann Peter Pixis, Heinrich Herz i wreszcie sam Liszt. Wtedy znowu mógł się kompozytor przekonać, że dzięki swemu talentowi i biegłości znalazł wśród nich zaszczytne i niezaprzeczalne miejsce.

Przynależność, bardzo zresztą luźna i nieoficjalna, do burzliwego odłamu w sztuce nie oznaczała bynajmniej powszechnej aprobaty we Francji, czy nawet w samym Paryżu i niemała obawa przed surową oceną ze strony słuchaczy i muzycznych autorytetów była często powodem wewnętrznej rozterki arty-



# NIEŚMIERTELNY

sty. Innym przekonaniem, które walczyło w jego myślach o lepsze, była silna wizja twórcy i nieomylnie poczucie własnej wartości. Przed swym pierwszym publicznym koncertem postanowił kompozytor zasięgnąć rady wielkiego autorytetu w Paryżu, jakim był wtedy osławiony i dufny w sobie profesor-pianista, Friedrich Wilhelm Kalkbrenner. Chopin udał się do niego i odegrał jeden ze swych koncertów, po czym Niemiec wykrzyknął z zadowoleniem, że jest gotów dać mu lekcje i uczyni zeń, jak się wyraził „prawdziwego artystę“. Tu jednak kompozytor bez wahania oświadczył, że ambicją jego jest stworzenie dla siebie „nowego świata muzyki“, na co dotknięty Kalkbrenner energicznie zapewnił go, że nie może tego dokonać póki nie opanuje „starej szkoły“. Na tym kwestię urwano, a 26 lutego 1832 roku Chopin po raz pierwszy wystąpił w stolicy Francji, grając swój koncert fortepianowy f-moll i wariacje opus 2. Posunięcie to przecięło gordyjski węzeł sytuacji, gdyż Paryż natychmiast obwołał go swym faworytem. Oficjalnie zaś umocnienie pozycji Chopina przyszło niemal równocześnie, „gdy François Joseph Fétis, profesor konserwatorium paryskiego i najbardziej wpływowy w tym czasie krytyk, otwarcie wyraził swoje zainteresowanie i podziw dla „nowego świata muzyki“, którego nie doceniał, a którego z drugiej strony rywalizacji obawiał się Kalkbrenner. „Jeśli nie (jest to) zupełna odnowa muzyki fortepianowej — pisał przejęty Fétis — to przynajmniej część tego, czego tak długo szukaliśmy na próżno, a mianowicie obfitość oryginalnych myśli o charakterze, jakiego nie znajdziemy nigdzie indziej“. Trzeba przyznać, że osobiste obawy Kalkbrennera okazały się wtedy słuszne, ponieważ jego własna popularność jako nauczyciela i instruktora stawała się coraz mniejsza w miarę jak Chopin pozyskiwał rozgłos i sam przystąpił do prywatnego nauczania. Sam kompozytor

zresztą, uważał go za znakomitego teoretyka oraz wykonawcę i poczynił kroki, by złagodzić powstałe między nimi napięcie.

Zmiana, która tak raptownie zaszła w otoczeniu Chopina wobec nowej sytuacji, była ogromna. Zamiast warszawskich salonów — wszystkie salony Europy stały przed nim otworem. Cieszył się teraz znajomością pierwszych wówczas umysłów, z których każdy zostawił swoje niezapomniane piętno na całości zachodniego dorobku kulturalnego — Balzac, Musset, de Vigny, Heine, Delacroix, Mickiewicz, a z muzyków, oprócz już wspomnianych — Schuman, Berlioz, Meyerbeer, Mendelssohn, Czerny, Bellini. Zastanawiającą rzeczą jest, że będąc w samym wirze tych płodnych i pełnych inwencji osobowości, Chopin zachował tak daleko idącą indywidualność, że znalazłszy własny, jak raz to określił, „sposób“ w sztuce, stał się niemal zupełnie niedostępnym dla wszelkich zewnętrznych wpływów. Jego obecność w tym artystycznym kole ograniczała się do życia towarzyskiego, gdyż w toczących się dyskusjach o sztuce czy filozofii prawie zupełnie nie brał udziału, a teoriami innych prawie się nie interesował. Czytał jednak dość dużo, a przede wszystkim literaturę polską, co łączyło się z jego dość czułym elementem psychicznym, jakim była świadomość przynależności narodowej. Niemniej, szczególnie była jego pozycja jako pianisty. Podczas, gdy współcześni mu — Pixis czy Thalberg — dawali czasem po dwa, trzy koncerty tygodniowo, Chopin w całym swym życiu wystąpił publicznie niewiele ponad trzydzieści razy, co wystarczająco ilustruje jego niechęć do oficjalnego koncertowania. Na pewne wytłumaczenie tego faktu można przytoczyć dwa argumenty. Chopin z natury wolał intymną atmosferę i dlatego występy w salonach w obecności grona przyjaciół dużo bardziej mu odpowiadały i wtedy rzeczywiście fascynował grą, opisywaną nieraz jako najdelikatniejszą

i najsubtelniejszą artystyczną perfekcję. Drugim powodem było jego zdrowie — zwłaszcza w latach późniejszych, gdy siły jego gwałtownie pożerała śmiertelna choroba, miał trudności z wydobyciem z klawiatury prawdziwego „forte“, co zmuszony był pokrywać wypracowanym cieniowaniem między „pianissimo“ i „mezzoforte“ — metoda mogąca mieć tylko ograniczony efekt w dużych salach koncertowych, w epoce kiedy brawura wirtuoza stawała się požądaniem publiczności. Wskutek takiego stanu rzeczy jego pianistyczna sława rozeszła się nie tyle na skutek publicznych wystąpień kompozytora, ile publikowania jego kompozycji i relacji tych, którzy słyszeli go w salonach.

Proces kształtowania się jego specyficznej idiomatyki muzycznej zaczął się i zakończył w Warszawie, a gdy przyjechał do Paryża, Chopin był artystą o skryształizowanych zainteresowaniach w swej sztuce. Najbardziej znanym i niewątpliwie ważnym elementem w tym procesie jest jego, najpierw instyktowne, a potem świadome, sięganie do motywów czy choćby rytmu i charakteru melodii jego ziemi ojczystej. Polonezy i mazurki w jego rękach stały się najsilniej przemawiającymi formami muzycznej ekspresji, a „Wielka Fantazja“ na fortepian i orkiestrę jest imponującym przykładem użycia prostych tematów muzyki regionalnej dla stworzenia majestatycznej apoteozy. W czasie swej muzycznej edukacji Chopin natknął się na dwóch kompozytorów, których wpływ w tworzeniu się jego smaku i stylu jest wyraźny. Pierwszym z nich był Irlandczyk, przez długi czas mieszkający w Petersburgu, John Field, który stworzył krótką fortepianową formę nokturnu. Drugim był Hummel, którego eksperymenty w wypracowaniu ozdobnej linii melodycznej ponad prostym akompaniamentem stały się w dużej mierze punktem wyjściowym dla osiągnięć Chopina. Rezultaty pracy obu tych muzyków Chopin ogromnie rozwinął i nadał im urzekającą moc wymowy, jaką tylko niesłychanie głębokie rozumienie sztuki mogło stworzyć. Ostatnim decydującym wpływem na rozwój ekspresji kompozytora w połą-

czeniu z wykorzystywaniem instrumentalnych efektów był w Warszawie koncert Paganiniego. Fenomenalna perfekcja techniki gry „szatańskiego skrzypka“ ukazała horyzonty, jakie leżały jeszcze wtedy przed nim do zdobycia. Z chwilą jednak, gdy skończył swe studia w warszawskim konserwatorium posiadał wszystkie atuty, by przystąpić do budowania swego „świata muzyki“ — wspaniałą technikę fortepianu, wielkie wycucie i zrozumienie swojego instrumentu oraz świadomą ideę ich wykorzystania do swych wielkich reform i kompozycji, które wywarły tak wielkie wrażenie na współczesnych mu i przyszłych pokoleniach muzyków. Twórczość Chopina odegrała nie małą rolę w formowaniu się takiej wielkiej figury neoromantyzmu jak Rachmaninow, a w Polsce pozostawali pod jej wrażeniem Moniuszko, a potem Paderewski. Być może, największą jednak zasługę pod tym względem miała jego muzyka (zwłaszcza wykazujące doskonałość fortepianowego 'cantabile' nokturny) w silnym wpływie na późniejszych kompozytorów-impresjonistów jak Ravel i Debussy.

„Armata w kwiatach“ — mówił o tej muzyce Schumann podkreślając jej dramatyczny pierwiastek, niezawsze doceniany przez słuchaczy. Kompozytor jej był człowiekiem o bardzo wyjątkowo wrażliwej naturze i życie jego odbijało się wyraźnie tak na jego zdrowiu jak i muzyce. Powody psychicznych depresji, takie jak rozstanie z Marią Wodzińską czy George Sand, były nieodpartymi ciosami przeradzającymi się z czasem w długotrwałe, niemal chorobliwe stany. Był to z pewnością człowiek zdolny do wielkiej miłości i ideałów i dlatego niepowodzenia pod tym względem wstrząsały całą jego duchową egzystencją. Niezależnie od niejednokrotnie silnie zaakcentowanego narodowego charakteru, jego utwory są dlatego zawsze wyrazem osobistych uczuć i cierpień do najwyższego stopnia. Posiadał on rzadki dar wielce indywidualnej melodii — głębokiej i wstrząsającej, nigdy jedynie sentymentalnej. Słowa Norwida „polski ja w nim zamach cenię, a nie melancholię romantyczno-mglistą“, zdają

się być próbą zredukowania człowieka-artysty do roli Polaka-patrioty — tendencja, o co nie było trudno w narodzie, któremu własna martyrologia kazała zrodzić heroiczny, lecz często przesłaniający wszystko inne, nacjonalizm. Chopin był, rzeczywiście, lirycznym kompozytorem w całym tego słowa znaczeniu i ta strona jego twórczości często przywodziła na pamięć krytykom poezję Heine'go. Z drugiej strony, jego ballady i scherza posiadają element dramatycznego niepokoju i pasję bynajmniej nie liryczną. Niezwykle ważnymi kompozycjami są preludia — abstrakcyjne, pełne wizji, przez których tło jakby przesuwały się cienie klasztoru Valdemosa. Tak pisze o nich Liszt: „Cudowne, jeden nie podobny do drugiego, w pełni udane utwory, których prawdziwa wartość staje się dopiero widoczna po dokładnym poznaniu“. Dlatego też preludia należą do najtrudniejszych prac Chopina.

Przy całym swym wielkim duchu kompozytor należał do tego rodzaju artystów, których własne rozumienie sztuki czyniło ślepyimi na wartości pracy większości innych twórców, co zresztą nie przeszkadzało mu być z niektórymi z nich w dużej zażyłości. W bardzo młodym wieku jeszcze był już oczarowany dziełami Haydna i Mozarta, ale wykazywał pewien temperamentalny opór w stosunku do prac Beethovena. Bach był jego podziwianym muzykiem i zaabsorbowanie tym barokowym mistrzem datowało się z całą pewnością jeszcze z czasów lekcji z Żywnym. Spośród mu współczesnych respektem darzony był Cherubini, a pełnym podziwem i odczuciem zapalał się jedynie do oper Belliniego. Berlioz — ówczesny tytan orkiestry — był mu wielkim przyjacielem, ale elementy rewolucyjnej berliozowskiej harmonii były dla Chopina niezrozumiałe i odpychające. Mendelssohn był dla niego uosobieniem serdeczności, lecz jego muzyka bynajmniej nie wydała mu się czymś wzbudzającym entuzjazm. Schumann nie znaczył dla niego prawie nic. Liszt, który zresztą za jego życia bardzo mało komponował i poświęcał się prawie wyłącznie pianistycznym podróżom i pochłanianiu literatury, był

dla Chopina jedynie dobrym znajomym z towarzystwa i godnym podziwu wirtuozem. Ta pewnego rodzaju niezdolność do przyjęcia sztuki innych wraz z jego upodobaniem do prywatnego koncertowania w małym towarzystwie były często niesłusznie poczytywane za zarozumiałość.

Poza paryskim debiutem pamiętnego lutego, na swych rzadkich koncertach publicznych ukazywał się kompozytor prawie zawsze z innymi muzykami i niektórzy z nich zasługują na szczególną uwagę. W grudniu 1833-go roku wystąpili wspólnie Chopin, Herz, znany pianista i kompozytor niemiecki Ferdynand

## THE POLISH TRUSTEE ASSOCIATION LTD

(Polskie Stowarzyszenie Powiernicze)

*sporządza testamenty,  
likwiduje spadki,  
uzyskuje i przekazuje renty  
do Polski.*

20, QUEENS GATE TERRACE,  
LONDON, S.W. 7.  
Tel.: 584 0747

## WYDAWNICTWA BIURA STUDIÓW S. P. K.

**J. WAWRZKIEWICZ:**

SPK wczoraj, dziś i jutro.

**J. ŻABA:**

Młodzież w polskim życiu narodowym poza granicami Kraju.

**Z. SZADKOWSKI:**

Polskie organizacje młodzieżowe na uchodźstwie.

Cena: 1/6

**S. PAPROCKI:**

Oblicze ideowe młodzieży w Kraju.

Cena: 3/6

**KSIĘGARNIA S. P. K.**

20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.



Hiller i Liszt w fortepianowych „trio“ i duetach. W rok później Chopin słyszany był z Berliozem na koncercie danym w „Conservatoire de Paris“. Niezwykle interesującym utworem powstałym wskutek obcowania ze światem muzycznym był HEXAMERON — zbiór wariacji na temat marsza z opery Belliniego „Purytanie“, do którego przyczynił się Chopin oraz pięciu innych pianistów-kompozytorów. Imponujący to musiał być widok, gdy na koncercie dobroczynnym w Paryżu w roku 1837-ym odbyła się jego premiera, a przy sześciu fortepianach zasiedli Pixis, Herz, Chopin, Thalberg, Liszt i Czerny. Liszt ponadto opracował wstęp, przejścia między poszczególnymi wariacjami i „finale“, tworząc przez to jedną całość. W październiku 1839-go roku czeski kompozytor i pianista Ignaz Moscheles wraz z Chopinem wystąpili na koncercie danym przed francuską rodziną królewską Ludwika Filipa i najwyższymi osobistościami jego otoczenia. Był to już, niestety, okres, kiedy stan jego zdrowia zdradzał straszną beznadziejność i zwiastował wczesną śmierć, która niewątpliwie jeszcze bardziej przyspieszona została osobistym dramatem życia kompozytora.

Muzyk, który wybił się tak wysoko, jak Chopin, stał się rzeczą zrozumiałą, obiektem zainteresowania największych krytyków i muzykologów poprzez ostatnie sto czterdzieści lat. W czasach, kiedy żył można mu było zarzucać brak perfekcji

formy i niechybnie to było do dużego stopnia powodem, śmiesznej nie do dzisiaj, propozycji Kalkbrennera przed wystąpieniem paryskim Chopina. Reakcja Kalkbrennera była zasadniczo usprawiedliwiona faktem, że sam był on autorytetem „starej szkoły“, a chopinowskie zerwanie ze strukturą klasycznej kompozycji i improwizatorski charakter były dla niego zaskoczeniem. Podobna była na początku reakcja Elsnera, który jednak zaraz zorientował się, że ma do czynienia z „muzycznym geniuszem“ i był najprawdopodobniej pierwszym ze świata muzycznego, który zrozumiał, że wobec indywidualności talentu Chopina osądzanie jego prac na podstawie wypracowanych form muzycznych epoki byłoby najdalej idącym błędem i minięciem się ze świadomymi intencjami kompozytora. Problem ten nie istnieje dzisiaj, gdy rozwój muzycznej formy poszedł już o wiele dalej, lecz pozycja Chopina jako twórcy i muzyka poddawana jest dwóm dalszym krytykom. Często kwestionuje się wartość chopinowskiej orkiestracji, co przywołuje na pamięć jego dwa koncerty fortepianowe. Tu jednak trzeba przyjąć pewną zasadniczą cechę tych prac, mianowicie orkiestra stanowi w nich zupełnie inny element w porównaniu z koncertami współczesnych mu czy wcześniejszych kompozytorów i jest pierwiastkiem nierównorzędnym fortepiano wi, ale głównie tłem i ornamentacją. Niechybnie, biorąc pod uwagę

przypuszczenia, że Chopin mało uwagi poświęcał pewnym aspektom swych muzycznych studiów w Warszawie oraz fakt, że w późniejszym życiu na własną rękę wertował podręczniki Cherubiniego, wielu muzyków i krytyków czuło tę jakby upośledzoną rolę orkiestry w chopinowskich koncertach. Próby ich zreorkiestrowania, jakie w różnych okresach przeprowadzali Klindworth, Tausing, Messenger czy Fitelberg, spelżyły jednak na niczym i zasadniczy schemat orkiestracji tych dwóch prac został zachowany do dzisiaj. Drugą poważną krytyką Chopina jest brak ciągłości w jego większych utworach, a więc przede wszystkim w sonatach i koncertach. Tu znowu należy zanalizować ten stan rzeczy z punktu widzenia kompozytorskich intencji i sił przewodnich. Chopin nadaje swym utworom charakter wysoce uczuciowy przechodzący czasem w emocjonalną pasję — napięcia, które z samej natury rzeczy i ich intensywności nie mogą trwać długo — trudno więc tu oczekiwać, by ta sama zasadnicza celowość dominowała np. poprzez trwanie całego koncertu fortepianowego. Dyskusowanie tych rzeczy zdaje się być jednak sprawą dość trudną i na jeden artykuł zbyt długą. Entuzjastyczny krytyk, jakim był Schumann tak pisał w r. 1836: „Możemy być pewni, że geniusz jak Mozart, jeśli żyłby dzisiaj, pisałby koncerty jak Chopin, a nie jak Mozart“.

Jarema Korczak

HENRYK GRUBER

## WSPOMNIENIA I UWAGI

1892 — 1942

Trzy części:

- I. BUG WPADA DO WISŁY — Autor przedstawia życie w prowincjonalnym miasteczku Sokalu, pobyt we Lwowie i Wiedniu, udział w kampanii wojennej w Legionach Piłsudskiego oraz w wojnie przeciwko bolszewikom w 1920 roku.
- II. ANATOMIA POCZĄTKÓW — to okres służby państwowej na różnych stanowiskach a przede wszystkim jako Prezesa P.K.O. i Prezesa Banku P.K.O. oraz udział w doniosłych konferencjach gospodarczych na najwyższym szczeblu państwowym.
- III. CZART PROWADZI BAL — przejścia w Paryżu i zdarzenia w Londynie widziane przez autora z Argentyny.

576 stron!

Ilustracje!

Cena: £3.0.0 plus koszta przesyłki!

Wydawca: Gryf Publications Ltd.

SKŁAD GŁÓWNY: Księgarnia Kombatancka — 20, Queens Gate Terrace, LONDON, S.W.7. — Nadto do nabycia we wszystkich księgarniach polskich.

GRYF PUBLICATIONS  
LTD.

LIDIA I ADAM CIOŁKOSZOWIE

### ZARYS DZIEJÓW SOCJALIZMU POLSKIEGO

TOM I.

Str. 520

Cena: 63 sh.; F. 40.00; dol. 9.00

KSIĘGARNIA S.P.K.

20, Queens Gate Terrace,

LONDON, S.W.7.

## A L D O N A

W pokoju było ciemno. Tylko w jednym rogu żółtawe światło żarówki spokojnie spływało na pulpit regału i miękko rozkładało się na białych kartach opasłych słowników. Znowu zasyzczała zapalka i znowu — jak zwykle — kłąb gęstego dymu uniósł się ku sufitowi. Skrzypnęło mocno wysiedziane krzesło i znad bezlitośnie pokreślonych kartek papieru wstał wątlwy, nieco chuderlawy mężczyzna. Jego młodzieńcze oczy chciwie spoglądały na półki obok stojącego regału, lecz wzrok zwodniczo ześlizgał się z grzbietów równiutko ustawionych książek. Czuł głód, już od kilku dni to samo pragnienie. Gotów był przełknąć całe urządzenie świata.

Nie szło mu tej nocy. Słowa zbijały się w gęstą masę, to znów bezładnie i rozwlekle plątały się tu i ówdzie po krzywych rządkach linijek. Spod sterty zmiętego papieru z trudem wydobył kanciastą popielniczkę, po brzegi wypełnioną niedopałkami popielosów. Krzaczaste hieroglify japońskiego siocetsu kamieniały w zaklętych pancierzach lub krnąbrnie rozłożyły się po stronicach jak karaluchy czy inne blattae orientales.

Był sam, lecz nie czuł się osamotniony. Roman miał własne życie i nie chciał, by ktokolwiek usiłował w nie wkroczyć. Tego ranka — jak zwykle — szedł ulicą kurczowo trzymając w ręku uchwyt swojej zawsze przyciężkiej aktówki. Robił wrażenie śpieszącego się na dworzec pasażera. Przy skrzyżowaniu ulic ujrzał z przeciwka idącą Aldonę. Wydobył z siebie grzeczny ukłon i wydawało się, że nawet niezręcznie odwzajemnił jej uśmiech. Po drugiej stronie ulicy zapaliło się czerwone światło i strumień anonimowych przechodniów pośpiesznie opuścił jezdnię. Roman rozejrzał się, czy przejście po innej stronie skrzyżowania miałyby jakiś sens.

— Jak się masz, Roman? Co słychać? Kopeć lat...! — zapiszczał jazgotliwy głos Aldony.

— U mnie olrajt, a co z tobą? Dokąd tak spieszysz? — czuł się

zobowiązany zapytać o cokolwiek.

— Ach, słuchaj, szukam właśnie ładnej bluzeczki, takiej z komisu, wiesz... orlonowej. Jutro idę na jubel do kumpli. Będzie frajda.

Nic to go właściwie nie obchodziło. Nie wiedział nawet dokładnie, jak wygląda ten jej „orlon“.

— Tak? Chcesz kupić?

— Wiesz, podłapałam trochę forsy od starych...

Aldona miała 19 lat. Roman sam już nie wiedział, skąd ją w ogóle znał. Stali tak jeszcze przez chwilę, ale gdy na tamtej stronie ulicy znów zapaliło się zielone światło, poszli przez jezdnię we dwoje. Jej słodki szczebiot zaczynał mu się coraz bardziej podobać. Zatrzymywali się przy wystawach wielu sklepów, co przysparzało mu trochę kłopotu. Nie potrafił bowiem ocenić, czy „w tym co leży tam wysoko... taka zielona łączka na różowym tle“ będzie jej do twarzy. Materiał oddałaby matce koleżanki do skrojenia, a sama umie szyć na maszynie, to jeszcze jutro miałyby ładną bluzeczkę na jubel.

— Nie wiem — musiał jednak coś dodać, samo „nie wiem“ brzmiało trochę niezręcznie — ... ale wydaje mi się, że w tym kolorze nie będzie ci dobrze.

— Coś ty? Ja tylko w takich kolorach czuję się najlepiej. Inaczej to w ogóle do niczego... — stwierdziła stanowczo, więc przystał na jej gust. Po chwili wahania sama jednak zrezygnowała z tego zamiaru i... poszli dalej.

Na stole skwierczały cztery dopalające się świece. Kilka osób siedziało na wersalce wypijając kolejną zawartość kieliszków, napełnianych coraz to gorszym gatunkiem wina. Dym z papierosów piekł nie-milosiernie w oczy, choć okno było wciąż otwarte. Magnetofon trząsał się na parapacie i średnio co 10 minut rozlegało się uwielbiane „YEAH, Yeah, yeah...“ Jakaś para tańczyła po pokoju, w rogu siedzieli nikogo — nie widzący nowi — zakochani, kilka osób przeniosło się do sypialni, a z kuchni od czasu do

czasu dobiegał ostry brzęk tłukącego się szkła.

Aldona siedziała sama przy stole, a Roman prowadził szalenie interesującą rozmowę o nowych nagraniach „Holly Stars“. W pewnej chwili ktoś oparty o futrynę drzwi przez nieuwagę przycisnął plecami kontakt. Pokój od razu zmienił nastrój. Zawrzało na wersalce. Ktoś inny zabrał ze stołu świecznik i różne poziomy wina w kieliszkach zrównały się ponownie.

— No to przepijmy! — namawiała Baśka.

Nikt nie zwlekał. Aldona podszła teraz do Romana pozorując zamiar włączenia się do rozmowy. Temat był już jednak wyczerpany, tym bardziej, że „Holly Stars“ byli zespołem jazzowym imaginacji Romana i o jego istnieniu goście słyszeli po raz pierwszy. Roman przesunął się troszkę, by zrobić jej miejsce na wersalce, lecz niewiele to pomogło. Przytulił ją więc do siebie, bo ta pozycja nie zajmowała zbyt dużo miejsca. Poczul jej ciepłe ciało, paliło go teraz przez halkę, sukienkę, marynarkę i koszulę. Nie pozwolił jednak, by trwało to długo. Wstał i podszedł do okna udając, że szuka papierosów.

— Warto by się zakręcić! — po chwili zaproponował trochę niepewnie.

— E, masz, przechyl lepiej jeszcze jednego! — skarcił go Jurek.

Zdawało mu się, że Aldona prychnęła nawet ironicznym śmiechem. Zrozumiał, że był to kolejny niewypał. Chwilami zapominał o sobie; że on — to właśnie on, i wtedy był inny. Ale co pewien czas coś w nim odżywało, coś co dzieliło go od pozostałych, chociaż wiekiem różnił się od nich niewiele. Czuł, że Aldona mocno się zawiodła. Wiedział, że jest jej winien rewanż za propozycję, jaką go zaszczyciła zapraszając na „jubel do kumpli“, gdzie podobno miała być „frajda“. Wrócił więc na wersalkę i nagłą serią urywanych pocałunków obsypał jej twarz, oczy i włosy. Ten gest uczucia Aldona przyjęła najpierw nijak, po



czym parsknęła ponurym, świszczącym śmiechem.

Świtało.

Zza okna dobiegał go szum sunących samochodów i hurkot tramwajów. Blask świecącej żarówki niebardzo był już skuteczny. Sięgnął po papierosy, lecz w paczce nie było już ani jednego. Odszukał dawno porzuconą cygarniczkę i znalazł w popielniczce najdłuższy niedopałek. Mimo zmęczenia senność go nie ogarniała. Był bliski szczęścia. Jego półroczna praca nad japońskim sioosetsu dobiegała końca. W pokoju było już zupełnie widno, kiedy położył się spać.

W południe, w pobliżu dworca kolejowego kupił znaczek pocztowy. Nic jeszcze nie oznaczało tego, co nastąpiło później, po wrzuceniu listu do skrzynki pocztowej... Wrzucił je przecież często. Jedynym jego uczuciem podczas wykonywania takich czynności była chęć otrzymania szybkiej odpowiedzi. Dzisiaj dokonało się coś zupełnie innego. Nie liczył dni potrzebnych na otrzymanie odpowiedzi. Nie uwzględniał oczywistych faktów: poczta, zwłoka korespondenta... Rozpłynął się, w granicach rzeczywistości.

Następne dwa tygodnie nieznośnie się wlokły. Pragnął, żeby to już było po dwóch tygodniach, albo lepiej... po trzech. Jednak odpowiedź nadeszła dopiero po miesiącu:

„Z przykrością zawiadamiamy, że ocena japońskiego sioosetsu, które Pan przetłumaczył, wypadła niepomysłnie. Niestety, kolegium redakcyjne uznało, że fabuła, na jakiej zostało ono osnute, jest zbyt popularna w literaturze światowej. Sądźmy jednak, że warto, aby Pan przygotował jakieś inne, ciekawsze tłumaczenie. Prosimy nie zrażać się tym niepowodzeniem i szczerze zachęcamy Pana do dalszej pracy nad japońską literaturą. Z poważaniem — sekretarz redakcji...“

— „Nie zrażać się“ — dobre mi — pomyślał — ... pół roku zmarnowałem. Spinaczem biurowym przypiął list do maszynopisu tłumaczenia i rzucił wszystko na pulpit.

— „Szczerze zachęcamy do dalszej pracy...“ — cholera z ich „poważaniem“.

Znów wziął do ręki wypieszczone dzieło, przerzucił kilka stron. „Ty

zółtku tokijski, ty nędzny sztaparzu...“ — podarł plik papierów i strzępy wrzucił do kosza.

Wieczorem poszedł na skrzyżowanie. Był senny i mocno znużony. Już nawet nie brał ze sobą aktówki. Zatrzymał się i czekał. Zdawało mu się, że w każdej przechodzącej dziewczynie widział coś z Aldony. Inaczej by ją teraz powitał. Sam właściwie nie wiedział, po co wszedł do pobliskiej restauracji. Raczej z niechęcią zbliżył się do stolika, przy którym Witek, jego dawny przyjaciel, dopijał któreś z kolei „pełne“, lecz przywitał go normalnie. Przyśiadł z boku i ciężko zwiesił głowę. Siedział teraz bardziej przygarbiony niż zwykle. Pośmutniałe źrenice biegały ustawicznie z jednego w drugi kąt krzaczastej oprawy oczu. Chciał coś powiedzieć. Szukał, wazył, przebierał. Balans jego myśli natrafiał chwilami na jakąś zaporę i wtedy nieruchomiały na moment chciwie rozbiegane oczy. Kapryśnie zmarszczone czoło coraz bardziej rozpraszało uwagę Witka. Witek bał się nawet, że Roman skarci go zaraz za tę powierzchowność.

— Zniknąć, bracie, zniknąć daleko.

No wal, do cholery, co cię gryzie? — odważył się Witek.

— „Dwa razy, dwa długie razy próbowałem swoich sił...“ — walczył z myślami usiłując przepędzić je w przestrzeń niepamięci. Nic nie mówił, jakby czekał na coś, co mogło go od tego uwolnić.

Do stolika podeszła wreszcie kelnerka. Podniósł głowę znad przybrudzonej serwety mocno zleżalej na kantach stołu.

— Duże piwo, pani będzie łaskawa.

Jej przymiłny uśmiech wzbudził w nim wzgardę i nieuzasadnioną nienawiść. — „Mizdrzy się do kądźdęgo.“

— „Ciagle jest wesoła, cholera, jakby tylko radość istniała na świecie.“ — pomyślał.

Pamiętał dobrze chwile swoich radości. Rozmyślał. Czekał. Choć raz chciałby wiedzieć, co będzie jutro, a potem pojutrze i... później. Właśnie teraz.

Nagle poruszył się trochę żywiej. Zdawał się zwracać na siebie uwagę Witka.

— Nareszcie — odetchnął tamten z ulgą.

Roman rozmarszczył czoło i podniósł wzrok na wysokość oczu Witka. Wszystko w jego życiu wydawało się składne i tchnące szczęściem.

\* \* \*

Ten dzień był najkrótszym dniem w jego życiu, choć chciał, aby trwał długo, kilka dni, może kilka tygodni, albo nawet całe miesiące i lata. Istota tego dnia wypełniła się w chwili najmniej spodziewanej. Słońce świeciło ostro, ale ulica tchnęła już przenikliwym chłodem. Nie wiedział, co się w nim działo. Jednego był pewien. Żył inaczej, czuł to. Coś go rozpierało, coś omdlewało.

— Spójrz, kawiarnia!

Spojrzenie Aldony zdawało się karcieć to nagle odkrycie, ale nieubłagana tęsknota za kawiarnianym stolikiem popchnęła go dalej.

— Wejdzmy, choć na chwilę! — zaproponował.

Spieszył się bardzo do tego stolika, zwykłego kawiarnianego stolika. Usiedli. Roman czekał. Nie, wcale nie na kelnera czekał. Ten zjawił się nawet zbyt szybko, jak na jego dotychczasowe przyzwyczajenie. Nie był mu w ogóle potrzebny.

— Dwie herbaty, poproszę...! — rzekł szybko zabarwiając czechem uśmiechem czeze zamówienie. Chciał mówić... dużo mówić.

Aldona siedziała obok lekko zarumieniona. Jej rzęsy były dzisiaj piękniejsze niż kiedykolwiek, a przecie były to jej codzienne, naturalne rzęsy. Długie czarne włosy kunsztownie spływały na ramiona i z gracją muskały jej dziewczęcą delikatną twarz. Słuchała go. Właśnie teraz słuchała Romana najpilniej. Nie uroniła jednego słowa, technia między wyrazami. Rozumiała go. Pomagała myśleć, wyprzedzała jego intencje. Cieszyła się szczerze jego stanem.

Roman przerwał. Z jego oczu płynęły wyrzuty wstydu. Nie chciał już mówić. Za wszelką cenę pragnął teraz zachować coś dla siebie, być o tyle chociaż bogatszy od Aldony.

— „Nie, nie wolno uciekać... to zbrodnia!“ — pomyślał tylko. Aldona wiedziała o tym. Chciała, żeby to głośno powiedział. Słowa są trwalsze niż myśli.

André Vouaudart

## PROTEST PRZECIW SZALEŃCZEJ STRATEGII

W związku z wiadomościami ogłoszonymi przez niektóre organy prasowe na Zachodzie o planach NATO użycia w razie groźby konfliktu wojennego z Rosją broni atomowych na terytorium Polski, Czechosłowacji i Niemiec Wschodnich w zamiarze odstraszenia Kremla od ewentualnej agresji, odezwały się w społeczeństwie polskim na emigracji liczne głosy protestu przeciw tej obłąkańczej koncepcji. W ślad za SPK w Kanadzie, które pierwsze napiętnowało myśl o tego rodzaju zbrodni, poszły inne czony naszego Stowarzyszenia oraz polskie organizacje i ugrupowania polityczne w wolnym świecie.

Zarząd Główny Federacji Światowej wystosował w tej sprawie pisma do prezydenta Nixona oraz premiera W. Brytanii Wilsona.

## RADA ORGANIZACJI KOMBATANCKICH

Po dłuższym okresie przygotowań została powołana do życia Rada Organizacji Kombatantów, w skład której wchodzi przedstawiciele Koła Kobiet Żołnierzy P.S.Z. — płk. M. Leśniakowa, kpt. J. Morozewicz, Maria Parol; Sekretariatu Kół Oddziałowych gen. K. Ziemiński, płk. M. Siewiński, płk. J. Wawrzekiewicz; Stowarzyszenia Lotników Polskich płk. A. Dąbrowa, inż. Ścibor-Rylski, mjr. C. Wrzesień; Stowarzyszenia Marynarki Wojennej kmdr. B. Wroński, dr B. Markowski; Stowarzyszenia Polskich Kombatantów — mjr. S. Soboniewski, mjr. T. Krasoń, mjr. Z. Szadkowski i Związku Inwalidów Wojennych P.S.Z. — mjr. J. Szlamp, ppor. W. Zdrzałka.

Do czasu powzięcia ostatecznej uchwały przez właściwe władze Koła A.K. o wejściu do Rady, przedstawiciele Koła A.K. — mjr. F. Miszczak, J. Płoska, L. Kindlein będą zapraszani do udziału w zebraniach Rady.

Celem Rady jest zacieśnienie współpracy między organizacjami kombatantów oraz wspólne wystąpienia w sprawach ideowo-programowych gdy zajdzie tego potrzeba.

Rada jest oparta na zasadach nie naruszających podstawy organizacyjnej tworzących ją organizacji.

W dniu 5.III.1970 r. odbyło się pierwsze zebranie Rady, która dokonała wyboru Prezydium w składzie:

Przewodniczący — prof. A. Ścibor-Rylski (SLP), wiceprzewodniczący — M. Leśniakowa (K.K.Z.), sekretarz ge-

# Z ŻYCIA POLSKIEGO

neralny Z. Szadkowski (SPK). Ustalono również, że Sekretariat Rady będzie się mieścić w Domu SPK w Londynie.

Na zebraniu omówiono sprawy związane z organizacją tegorocznego Święta Żołnierza, którą przypada w 50 rocznicę zwycięskiej Bitwy Warszawskiej.

## WALNE ZEBRANIE RADY MIĘDZYORGANIZACYJNEJ W LEICESTER

Zebranie odbyło się w Domu Kombatanta. Przewodził prez. P. Hęciak z Londynu, a sekretarzował prez. M. Czerniawski. Sprawozdanie z prac złożył przew. Rady M. A. Dąbrowski. Rada wydała 5 „komunikatów“, zachowując tą drogą łączność ze społeczeństwem. W związku z obchodem 25-lecia walk o Monte Cassino, tak Koło S.P.K. jak i Koło Lotników ponarło finansowo wyjazd młodzieży do Włoch. Urządzono akademię na 25-lecie Monte Cassino pt.: „Dzień zwycięstwa“, zorganizowano wyjazd do Londynu na uroczystość pt.: „Na polu chwały“, Rada utworzyła komitet fundacyjny szandaru dla koła S.P.K. 431.

W listopadzie odbył się obchód Święta Niepodległości z udziałem ok. 300 osób. Członkowie Rady uczestniczyli w realizacji literackiego konkursu na tle legionowej powieści „Ich młode lata“ przy licznych udziale młodzieży, a zorganizowanym przez państwo J. R. Kawalców. — Chór „Halka wchodzący w skład R.M. pracuje, jak zaznaczył przewodniczący, na rzecz wszystkich bez wyjątku organizacji. Rada współpracowała ściśle z ośrodkami: Nottingham, Loughborough, Derby i Melton-Mowbray.

Nowe władze Rady M. ukonstytuowały się w następujący sposób: prezydium. A. Dąbrowski — przewodniczący, C. Wrzesień, J. Feber, B. Dobski, B. Józefczyk; komisja rewizyjna: M. Czerniawski, J. Socha, prez. Szczurowski i E. Wudarski.

Erka

## WALNE ZEBRANIE KOŁA SPK MARSYLIA

Dnia 8 lutego br. odbyło się doroczne Zebranie Koła SPK Marsylia pod przewodnictwem delegata zarządu SPK we Francji kol. S. Domańskiego. Sprawozdanie z działalności Zarządu Koła w Marsylii złożyli: prezes kol. K. Kruk, sekretarz kol. M. Klemensiewicz i skarbnik kol. S. Horodyski. Ze sprawozdań wynika, że Zarząd utrzymywał żywy kontakt ze swymi członkami i organizował polskie tradycyjne uroczystości i obchody oraz brał udział w uroczystościach organizowanych przez kombatantów francuskich. Koło delegowało na uroczystości na Monte Cassino kol. Klemensiewicza i kol. Satorę. Na szczególne podkreślenie zasługuje ofiarność Koła i jego członków, którzy wpłacili kwotę Fr. 682 na budowę pomnika I Dywizji Grenadierów na polu bitwy pod Lagarde. Po odczytaniu protokołu Komisji Rewizyjnej przez kol. F. Sapińskiego, zebrani udzielili absolutorium z podziękowaniem ustępującemu Zarządowi. Do nowych władz Koła zostali wybrani kol. kol.: B. Klemensiewicz — prezes, M. Satory — wiceprezes, koleżanka M. Klemensiewicz — sekretarz, S. Horodyski — skarbnik, ks. M. Lasok — członek Zarządu. Do Komisji Rewizyjnej zostali wybrani: kol. kol. F. Sapiński — przewodniczący, K. Michałowski i H. Troha — członkowie. Na delegatów na Walny Zjazd w Paryżu zostali wybrani: kol. S. Domański i kol. B. Klemensiewicz.

Długoletni prezes Koła K. Kruk zgłosił swą rezygnację ze stanowiska prezesa ze względu na stan zdrowia. Należy podkreślić, że w czasie jego prezesury Koło przejawiało zawsze bardzo ożywioną działalność i przysłużył się on sprawie polskiej na emigracji. Należy mu się gorące podziękowanie od kombatantów polskich.

## WALNE ZEBRANIE KOŁA SPK I 2 D.S.P. w LYS-LEZ-LANNOY

W niedzielę dnia 22 lutego br. odbyło się Walne Zebranie Koła SPK i 2 DSP w Lys-lez-Lannoy. Zebranie otworzył kol. Słysz, prezes Zarządu Koła, po czym na przewodniczącego zebrania został wybrany kol. E. Tuszewski, wiceprezes Rady SPK we Francji; na sekretarza kol. Strzelbicki i na asesorów koleżdy Bidziński i Płomiński.

Kol. Tuszewski podkreślił konieczność dalszej pracy niepodległościowej i wyraził zadowolenie z aktywności Koła. Następnie głos zabrał kol. Żłobnicki, se-



ekretarz generalny Zarządu SPK we Francji, który poinformował zebranych o działalności społecznej i propagandowej Zarządu. Sprawozdanie z działalności Koła SPK w Lыз-lez-Lannoy wygłosił kol. prezes Słysz, z którego wynikało, że Koło urządziło szereg uroczystości patriotycznych oraz wzięło udział w imprezach organizowanych przez stowarzyszenia francuskie. Poza tym Koło zajmowało się i pomagało kolegom w starszym wieku oraz rozciągało opiekę nad polskimi grobami i pomnikami. Po sprawozdaniu Komisji Rewizyjnej, wygłoszonym przez kol. Gąbrycha, zebrani jednogłośnie udzielili absolutorium ustępującemu zarządowi. Następnie wybrano Zarząd oraz Komisję Rewizyjną na nową kadencję w zmienionym składzie. Jako delegatów na X Walny Zjazd Delegatów SPK w Paryżu, który odbędzie się w listopadzie br., wybrano kolegów Słysz i Strzelbickiego. W imieniu Zarządu kol. Słysz podziękował zebranych za okazane zaufanie i nakreślił projekt działalności Zarządu na nową kadencję.

#### YMCA ZAPRASZA MŁODZIEŻ

**POLSKA YMCA WE FRANCJI** — 13, Avenue Raymond Poincaré, Paryż 16-ty zaprasza młodzież z Paryża i okolicy, lubiącą tańce, do nauki polskich tańców i pieśni ludowych w **KOLE TAŃCÓW NARODOWYCH** Polskiej YMCA „K R A K U S”.

Kierownikami artystycznym zespołu pieśni tańców narodowych są znani już w świecie artystycznym, państwo Idalia i Miłosz M A G I N O W I E.

Prócz nauki tańców i pieśni Koło organizuje bogate życie towarzyskie.

Zebrania Koła odbywają się regularnie w każdą **ŚRODĘ** od godziny 20-tej do 22,30 w lokalu YMCA — 13 avenue Raymond Poincaré, Paris 16.

**ZAPISY i INFORMACJE** przyjmuje Kierownictwo Zespołu „KRAKUS” w każdą środę w godzinach jak powyżej, lub Sekretariat Polskiej YMCA — Telefon PQSsy 92-96; 92-97.

#### ZEBRANIE KOŁA GRENADIERÓW W ROUBAIX

W Domu Polskim w Roubaix, ognisku życia społecznego Polaków tego dużego skupiska uchodźczego, odbyło się dnia 22 lutego doroczne zebranie miejscowego Koła Grenadierów SPK przy bardzo licznej frekwencji członków i sympatyków.

Zebranie otworzył prezes Koła, kol. Z. Król, po czym przewodnictwo objął przybyły z Paryża kol. W. Żeleński,

przewodniczący Referatu Grenadierskiego SPK i wiceprezes-delegat na Francję Związku Polskich Grenadierów w Wielkiej Brytanii.

Po krótkiej dyskusji nad stanem prac Koła i jego zadaniami na przyszłość uchwalono wniosek o absolutorium dla zarządu po czym dokonano wyboru nowych władz:

Prezes: kol. Z. Król, wiceprezesi: C. Rusiecki i K. Pyszyński, sekretarz T. Biernaczyk, skarbnik B. Czerniel, członek Zarządu J. Matejko. Komisja Rewizyjna w składzie dotychczasowym, mianowicie: kol. W. Samborski — przewodniczący, J. Krawczyk i Mieczkiewicz — członkowie.

Z kolej przystąpiono do obrad nad zbliżającymi się uroczystościami grenadierskimi w 30-tą rocznicę zakończenia walk Dywizji w Lotaryngii. Kol. Żeleński zapoznał obecnych ze stanem zbiórki na pomnik Grenadierów pod Lagarde oraz z postępami wpłat na medal pamiątkowy Grenadierów.

Po ożywionej dyskusji, jednomyślnie postanowiono wpłacić na pomnik 500 fr. z fundusów Koła niezależnie od ofiar które mają wpłacić poszczególni członkowie Koła. Obecny na zebraniu Grenadier, kol. W. Podsiadło, prezes Związku Kupców w Lille, wpłacił na miejscu w imieniu członków tego Związku na fundusz pomnika sumę 245 Frs, co zebranie przyjęło oklaskami.

Powzięto również uchwałę, że wszyscy członkowie Koła dokonają wpłat na medal 30-lecia walk Dywizji, a Koło pokryje ponadto medale dla rodzin Grenadierów, zmarłych w ostatnich latach.

Wszyscy członkowie Koła postanowili wziąć udział wraz ze swymi rodzinami w obchodzie, który ma się odbyć dnia 21 czerwca w Dieuze i w Lagarde.

#### SZWAJCARIA

##### WALNE ZEBRANIE SPK

Zebranie odbyło się 8 lutego br. w Bernie przy udziale delegatów z 7 kół rozsiansych po całym kraju. Obrady poprzedziła msza św. celebrowana przez o. prof. I. M. Bocheńskiego O.P. i przez ks. E. J. Franję. O. Bocheński wygłosił kazanie, w którym podkreślił potrzebę wierności zasadom religijnym i narodowym.

Obrady toczyły się pod przewodnictwem dra J. Rakowskiego. Uzupełniające sprawozdanie z działalności Zarządu złożył prezes dr J. Paszkowski. W ciągu swej kadencji Zarząd wykonał szereg zadań społecznych m.in. wziął udział w uroczystościach 25-lecia Monte Cassino we Włoszech, współdziałał w pracach nad odsłonięciem Kołumny Wolności w

Rapperswilu, reprezentował Polaków na obchodach innych narodowości.

Kiermasz Książki Polskiej śladem lat poprzednich kontynuował pracę popularyzacji czytelnictwa. W ciągu ubiegłego 2-lecia sprzedano 1368 egz. książek, urządzono szereg odczytów i pogadanek oraz kilka zbiórek pieniężnych.

\* \* \*

W czasie zebrania kol. Gmureczyk otrzymał złotą odznakę SPK w uznaniu za wieloletnią pracę na stanowisku prezesa Koła Burgdorf-Solura.

Wybrano nowy Zarząd w składzie: prezes — dr J. Paszkowski, wiceprezesi — ks. E. J. Franja i K. F. Vincenz, sekretarz — J. Jakimowicz, skarbnik — M. F. Respond i członek Zarządu — B. Gmureczyk.

#### PIEWSZA ROCZNICA ŚMIERCI KAZIMIERZA WIERZYŃSKIEGO W SZWAJCARII

Zespół Kiermaszu Książki Polskiej uczcił rocznicę śmierci K. Wierzyńskiego wieczorem literackim, w którym artystka dramatyczna i filmowa Kazimiera Skalska, 8-letnia Marysia Morkowska, Jerzy Marty student uniw. w Zurychu, recytowali wiersze i wyjątki z prozy poety. Kazimierz Vincenz wygłosił słowo wstępne, w którym uwypuklił główne znamiona twórczości Wierzyńskiego. Wieczór uzupełniła wkładka muzyczna zawierająca utwory J. Morkowskiego, odtworzona z magnetofonu przy fachowej obsłudze Jerzego Estreichera.

#### NAGRODA IM. ANNY GODLEWSKIEJ

Nagroda im. ANNY GODLEWSKIEJ, ufundowana przez syna Juliana Godlewskiego na rok 1970, została przyznana Polskiej Misji Katolickiej.

Komitet w składzie: Wanda Blumer, Jan Jakimowicz, Roman Gierszewski, dr Jerzy Paszkowski i Kazimierz F. Vincenz, (przewodniczący), uchwalił jednogłośnie przekazać nagrodę w kwocie 5.000 franków szwajcarskich na Dom Polski w Marle-le-Petit z okazji 20-lecia istnienia Polskiej Misji Katolickiej w Szwajcarii. Organizację nagrody przeprowadził, jak corocznie Kiermasz Książki Polskiej SPK.

Nagroda im. Anny Godlewskiej będzie wielką pomocą dla Domu w Marle-le-Petit, który spełnia ważne zadania społeczne.

Komitet wyraża serdeczne podziękowanie fundatorowi nagrody Julianowi Godlewskiemu za jego troskę o tutejsze centrum katolickie i za dbałość o ten ośrodek polskości.

# ZJAZD POLEK W W. BRYTANII

21—22 LUTEGO 1970

Jak to z wdziękiem młodości powiedziała panna Marysia Stepanówna, w Zjeździe Polek w Londynie wzięły udział panie „niżej lat sto i wyżej szesnaście“. I o dziwo! wszystkie one — a było ich 314, każda z odrębnymi poglądami — doszły do zgodnych wniosków i niemal jednogłośnie przyjęły ostateczne uchwały Zjazdu.

Po zakończeniu części rejestracyjnej i towarzyskiej, która odbyła się w rojnym „Ognisku“, gdzie nad efektownym stołem z eksponatami rozciągał się transparent z hasłem Zjazdu: „Służymy Sprawie Polskiej“ — przeszliśmy wszystkie do wielkiej auli w Imperial College, wypełnionej do ostatniego miejsca. W imieniu Komitetu Organizacyjnego Zjazdu, do którego weszły przedstawicielki 14 organizacji o różnych nastawieniach, otworzyła obrady p. Anna Januszajtis, przewodnicząca Zjednoczenia Polek w Londynie. Na przewodniczącą Zjazdu wybrano jednogłośnie zasłużoną działaczkę polityczną i znaną historyczkę, p. Lidę Ciołkoszową. Trudno o lepszy wybór, bo p. Ciołkoszowa, doskonała mówczyni o szybkiej orientacji, rzeczowa i obdarzona poczuciem humoru, od pierwszej do ostatniej chwili stała na wysokości zadania (niełatwego przy tak wielkiej ilości kobiet!).

Na sesji plenarnej doskonała pisarka, p. Stefania Kossowska („Big Ben“ z „Wiadomości“) wygłosiła świetnie ujęty i niekonwencjonalny referat na temat stosunku emigracji do kraju. Wnikliwie i nieszablonowo poruszyła p. Kossowska sprawy emigracji w kontekście zmian w czasie i w ludziach, oraz zadała kilka celnych i bardzo ludzkich ciosów nie jednej „świętej krowie“. Jej kontrolny referat wywołał ożywioną dyskusję, w której nawet dyskusjantki nie zgadzające się z tezami prelegentki robiły to w atmosferze tolerancji i zrozumienia.

Główna praca Zjazdu skoncentrowała się w 4 komisjach, w których

fachowe i na wysokim poziomie referaty wygłosiły prelegentki odznaczające się zarówno znajomością przedmiotu, jak i jego ładnym i treściwym ujęciem. Były to panie: Jadwiga Hausnerowa, Irena Horbaczewska, Janina Miedzińska, Leokadia Steinowa, Aleksandra Stypułkowska i Cecylia Wołkowińska, a w Komisji IV — Stosunek Młodego Pokolenia do Emigracji — panny: Hanna Czerniawska i Teresa M. Szadkowska. Wyróżniłam tę komisję, bo według vox populi największym osiągnięciem Zjazdu był czynny i entuzjastyczny udział w nim młodych studentek uniwersytetów angielskich, urodzonych już w Anglii i tu zaaklimatyzowanych, które dzięki odpowiedniej atmosferze domów rodzicielskich i harcerstwu zachowały poczucie polskiej przynależności i dumę narodową, oraz opanowały język polski na równi z angielskim.

Młodymi i starymi, ale tylko tymi potrzebującymi pomocy i opieki, zajęła się Komisja III na której wyprawne i ad rem referaty wygłosiły panie J. Hausnerowa i I. Horbaczewska, podkreślające, że z powodu nieświadomości lub nieznajomości języka Polacy na emigracji nie wykorzystują dostatecznie należnej im pomocy opiekuńczych władz angielskich. Aby temu zaradzić, należałoby, ich zdaniem, wprowadzić polskie pracownice społeczne (social workers) do angielskiej siatki opieki społecznej i zdrowia. W dyskusji poruszono wiele spraw bardzo ludzkich, często bolesnych lub drastycznych, wymagających nie tylko dobrego serca, ale także znajomości przepisów angielskiego Welfare State. Uczestniczki doszły do wniosku, że zadaniem polskiej prasy i polskich organizacji na emigracji winno być m.in. rozpowszechnianie kompetentnych informacji odnośnie uprawnień Polaków w Anglii, oraz rozszerzenie akcji uświadamiającej i opiekuńczej wobec gości z Polski, au pair i innych, szczególnie zaś wobec młodych kobiet, które są tu

taj często wyzyskiwane seksualnie i materialnie przez oszustów, narkomanów i inne męty społeczne. Stwierdzono, że sprawy te nie ograniczają się wypadków indywidualnego cierpienia, ale także narażają dobre imię Polski wobec Brytyjczyków.

Na zamykającej Zjazd sesji plenarnej p. Maria Leśniakowa, była komendantka „Pestek“, omówiła odpowiedzi na ankietę rozesłaną rozesłaną przez Komitet Organizacyjny do polskich organizacji kobiecych. Imieniem starszego pokolenia podsumowała obrady Zjazdu p. Wanda Pełczyńska, wybitna publicystka, była kurierka I Brygady Legionów i żołnierz A.K., a w imieniu młodego pokolenia — śliczna Wiola Hola, harcerka. Zamknęła Zjazd p. Lidia Ciołkoszowa, podkreślając m.in. poczucie solidarności w służbie dla sprawy polskiej, które na Zjeździe wybiło się ponad wszelkie różnice poglądów, oraz atmosferę serdeczności i życzliwości, niezakłóconą osobistymi animozjami i swarami. „Udział w Zjeździe tak dużej stonkowo ilości młodych Polek stanowi gwarancję ciągłości pracy niepodległościowej, gdy nas już nie będzie“, powiedziała p. Ciołkoszowa i zaznaczyła także, że „organizując Zjazd nie musiałymy pytać o pozwolenie władz administracyjnych; możemy pracować na rzecz Polski w warunkach zupełnej wolności, za co należy się wdzięczność narodowi brytyjskiemu“.

Chóralne „Jeszcze Polska nie zginęła“ zakończyło obrady.

M. T.

---

W KSIĘGARNI SPK

KUPISZ KAŻDĄ

KSIĄŻKĘ!

---



# UCHWAŁY ZJAZDU POLEK

## REZOLUCJA ZASADNICZA

W wyniku uchwał konferencji jałtańskiej Polska wyszła z II wojny światowej pozbawiona prawie połowy swego terytorium państwowego, z narzuconym jej przez armię sowiecką ustrojem dyktatury i reżymem komunistycznym, służącym imperialistycznym celom Rosji, a nie interesom narodu polskiego.

Naród polski odrzucił werdykt jałtański, nie uznał go i nigdy go nie uzna.

Wyrazem tego protestu było ukształtowanie się tuż po wojnie polskiej emigracji politycznej. Emigracja jest częścią narodu; wzięła ona na siebie zadania, których społeczeństwo w Kraju, skrepowane narzuconymi przez komunistów warunkami, podejmować nie może.

Dopóki skutki krzywdzących Polskę uchwał jałtańskich nie zostaną zlikwidowane; dopóki Polska nie odzyska wolności, niepodległości i ustroju demokratycznego; dopóki naród polski poprzez swobodnie wybrany sejm ustawodawczy nie będzie mógł sam zdecydować o swym losie; dopóty rola i zadania emigracji pozostają niezmiennione.

Kobiety stanowią nieodłączną część emigracji, więc jej zadania są i ich zadaniami. Kobiety polskie w życiu społecznym i politycznym emigracji mają ponadto do odegrania rolę szczególną, w której nikt ich zastąpić nie potrafi; są problemy, z natury rzeczy kobietom specjalnie bliskie.

Przez swój wpływ wychowawczy, przede wszystkim one utrzymują dzieci w wierze rodziców, wychowują je na Polaków, uczą języka polskiego i rozwijają w nich świadomość przynależności do narodu polskiego:

— przez swój instykt opiekuńczy, przede wszystkim one rozciągają opiekę nad chorymi, starcami i samotnymi Polakami na obczyźnie, by im zapewnić spędzenie ostatnich lat życia w środowisku polskim;

— przez zrozumienie ciężkiego położenia rodaków w kraju, zwłaszcza ludzi starszych wiekiem, pozbawionych opieki i należytych środków utrzymania, przede wszystkim one organizują i niosą im pomoc w miarę swych możliwości;

— przez swój wpływ obywatelski, przede wszystkim one podtrzymują i rozwijają skutecznie poczucie solidarności narodowej na emigracji.

Zjazd nakłada na wszystkie swe uczestniczki obowiązek, by wokół tych zadań i celów skupiały jak najszersze rzesze kobiet polskich na obczyźnie,

aby poszerzały i pogłębiały działalność polskich kobiecych organizacji niepodległościowych i zachęcały kobiety stojące dotychczas na uboczu do wstępowania w ich szeregi.

Ponadto Zjazd zatwierdził następujący wniosek młodzieży:

„Młodzież powinna brać udział i stopniowo przejmować pracę niepodległościową od starszego pokolenia, bo jeżeli tej pracy nie przejmie, cały dorobek emigracji będzie zaprzepaszczonej i może przejść w ręce ludzi, dla których sprawa wolności Polski jest obojętna. Młodzież oczekuje, że starsze pokolenie będzie ją do pracy niepodległościowej wprowadzało“.

## SYTUACJA W KRAJU

Zjazd protestuje przeciwko ciemieniu przez imperiaizm sowiecki narodu polskiego i innych narodów Europy środkowo-wschodniej.

Zjazd protestuje przeciwko nieustającemu uciskowi politycznemu w Polsce, którego najnowszym przykładem jest toczący się obecnie w Warszawie proces Macieja Kozłowskiego i współtowarzyszy, oskarżonych o działalność antypaństwową i kontakty z ośrodkami emigracyjnymi. Zjazd upoważnia swe przydzium do poczynienia odpowiednich kroków dla wyrażenia tego protestu:

Zjazd stwierdza po rozpatrzeniu sytuacji kobiet w Polsce:

a) że istnieje wielka rozpiętość między przepisami ustaw, zapewniającymi pełne równouprawnienie kobiet a stosowaniem ich w praktyce;

b) że pomimo zagwarantowanego w konstytucji PRL równouprawnienia kobiet, w szczególności równego z mężczyznami prawa do pracy i wynagrodzenia według zasady „równa płaca za równą pracę“, istnieje w Polsce ogromna dyskryminacja kobiet pod względem płac, awansów i stanowisk;

c) że ogólne warunki życia i pracy w Polsce współczesnej a w szczególności skasowanie istniejącego w Polsce niepodległej zakazu zatrudniania kobiet w nocy oraz szkodliwe łagodzenie i łamanie przepisów o pracach zabronionych dla kobiet — odbijają się niezmiernie szkodliwie na zdrowiu kobiet pracujących.

Zjazd łączy się z kobietami w Kraju, walczącymi o zachowanie najwyższych wartości Polski chrześcijańskiej i wierzy w ostateczne zwycięstwo prawdy i sprawiedliwości.

## WYCHOWANIE I OPIEKA SPOŁECZNA

Zjazd wyraża opinię, że kwestii młodzieżowych nie można rozpatrywać w oderwaniu od rodziny. Wobec coraz mocniej zarysowującego się kryzysu rodziny w świecie, wychowanie w atmosferze zdrowej i zjednoczonej rodziny jest najistotniejszym czynnikiem w przekazywaniu wartości religijnych i narodowych. Odpowiedzialność za przygotowanie dzieci i młodzieży do życia ponoszą rodzice i wychowcy, ale w trudnych warunkach rozproszenia emigracyjnego cała społeczność powinna dzielić z nimi tę odpowiedzialność.

Zjazd apeluje, by wszystkie niepodległościowe organizacje kobiece wywierały większy nacisk na rodziców, (a) o utrzymanie w domach polskich mowy ojczystej, religii i tradycji polskich, (b) o poparcie jedynych w Wielkiej Brytanii dwóch polskich szkół internatowych SS. Nazaretanek w Pitsford i Zakładu OO. Marianów w Fawley Court, (c) o poparcie wydawnictw Polskiej Macierzy Szkolnej, podręczników, broszur i pism dla młodzieży i dzieci, (d) o poparcie kolonii letnich i obozów dla młodzieży i dzieci, urządzanych w Anglii Belgii i innych krajach przez OO. Marianów, YMCA, Połską Macierz Szkolną oraz harcerstwo, (e) o przyjmowanie dzieci polskich z Niemiec do rodzin polskich na okres letnich wakacji oraz poparcie akcji ich kształcenia w Anglii.

Zjazd wyraża opinię, że dla podtrzymania polskości dzieci i młodzieży potrzebne i celowe jest zorganizowanie i uruchomienie wypożyczalni polskich nagrań na taśmach magnetonowych.

Zjazd apeluje o znalezienie praktycznych dróg i form organizacyjnych dla stworzenia oparcia natury moralnej (a nie tylko materialnej) dla młodzieży przybywającej z Kraju. Wobec wzrastającej liczby młodzieży przybywającej z Polski na nieodpowiedzialnie wysyłane zaproszenia, co pociąga za sobą wiele rozczarowań tak przyjezdnych jak miejscowych Polaków, a nieraz kompromituje nas wobec władz i społeczeństwa brytyjskiego Zjazd wzywa do wszczęcia akcji informującej młodzież z Polski o warunkach życia, pracy i płacy w Wielkiej Brytanii; młodzież tę należy kierować do odpowiedzialnych polskich i brytyjskich biur pośrednictwa pracy.

Zjazd apeluje do społeczeństwa emi-

(dokończenie na str. 34)

# Walny Zjazd Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii

W dniach 28 lutego i 1 marca br. obradował w Londynie Walny Zjazd Zjednoczenia Polskiego, reprezentujący 52 organizacje i większe ośrodki polskie na tej wyspie. Po mszy św. odprawionej w kościele św. Andrzeja Boboli rozpoczęły się w godzinach popołudniowych w sali „Ogniska Polskiego“ obrady. Zjazd otworzył prezes Zjednoczenia P. Hęciak, witając członków Rady Trzech — gen. W. Andersa, amb. E. Raczyńskiego i mec. A. Urbańskiego, przewodniczącego Rady Jedności dra T. Bieleckiego, przewodniczącego Egzekutywy K. Sabbata, ks. inf. Wł. Stanisławskiego i ks. prał. K. Sołowieja, generałów i prezesów organizacji politycznych i społecznych.

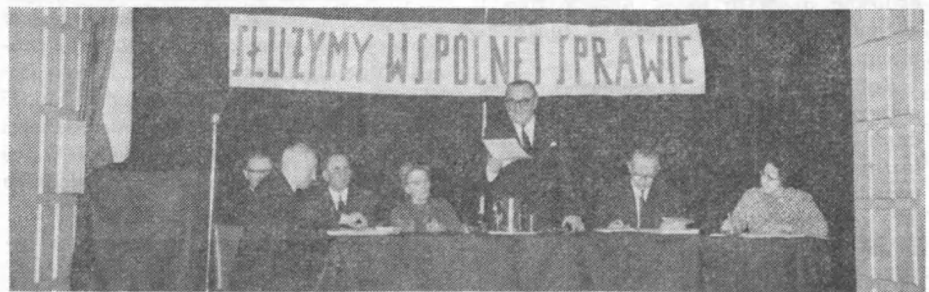
W przemówieniu swym prezes Hęciak przedstawił działalność Zjednoczenia Polskiego w minionej kadencji, poświęcając sporo uwagi swej ubiegłorocznej podróży do Stanów Zjednoczonych z okazji 25-lecia istnienia Kongresu Polonii Amerykańskiej i do Kanady. Ponieważ w roku przyszłym Zjednoczenie Polskie obchodzić będzie także 25-lecie swego istnienia, prezes Hęciak wyraził nadzieję, iż złożone przez niego zaproszenie dla prezesa Kongresu Polonii Amerykańskiej p. mec. A. Mazewskiego, zostanie przyjęte i że społeczeństwo polskie w W. Brytanii będzie miało zaszczyt gościć go w tym kraju, razem z przedstawicielami innych ośrodków polskich spoza W. Brytanii.

Głos zabierał nadto: amb. E. Raczyński, przewodniczący Egzekutywy K. Sabbat, ks. inf. Wł. Stanisławski oraz — w imieniu organizacji członkowskich Zjednoczenia — kmdr. B. Wroński, prezes Samopomocy Marynarki Wojennej.



Fot.: Wł. Bednarski

Zarząd Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii kadencja 1969/1970 w otoczeniu honorowych gości, którzy brali udział w otwarciu XXIV Walnego Zjazdu Zjednoczenia w dniu 28 lutego br. w Londynie. Od lewej: Ryszard Zakrzewski — sekretarz generalny, prof. Adam Ścibor-Rylski — członek Zarządu, ppłk. Zygmunt Bieńkowski — wiceprezes, ambasador Edward Raczyński, Paweł Hęciak — prezes, gen. Władysław Anders, Maria Leśniakowa — skarbnik, Stefan Kolańczyk — wiceprezes, Józef Płoski, Jan Krasnodębski i inż. Bronisław Pruszyński — członkowie Zarządu. Na zdjęciu brak prof. Józefa Bilińskiego, który w toku kadencji wyjechał do Iranu, gdzie objął katedrę na politechnice w Teheranie.



Fot.: Wł. Bednarski

Prezydium Walnego Zjazdu Zjednoczenia Polskiego — od lewej: B. Miszewski ze Slough, inż. J. Żaba — prezes Zjednoczenia Polskiego w Manchester, S. Kozłowski z Derby, Leona Sielicka ze Swindon, prezes Stefan Soboniewski — przewodniczący Walnego Zjazdu, płk. A. Dąbrowski z Leicester i A. Moszczyńska — sekretarka Zjazdu.

## UCHWAŁY POLEK

gracyjnego, aby nie zapominając o „cichych“ nędzy w Polsce, pomagało tym instytucjom społecznym, które zajmują się wysyłaniem paczek do Kraju.

Zjazd uważa, że konieczne jest zorganizowanie współpracy z brytyjską siecią opieki społecznej. W tym celu organizacje społeczne winny powołać do życia i sfinansować kurs informacyjny dla pracowników społecznych z terenu. Z uwagi na ważność problemu, organizacje opiekuńcze winny stworzyć stanowisko wykwalifikowanej pracownicy społecznej, koordynującej akcję opiekuńczą poszczególnych lokalnych komórek we współpracy z opieką brytyjską. Zjazd apeluje do organizacji opiekuńczych, aby przez łączenie się

stworzyły jedną organizację o zadaniach i celach opiekuńczych; skupienie zasobów materialnych i wykwalifikowanego personelu pozwoli skuteczniej rozwiązać narastające potrzeby opieki społecznej. Organizacja taka powinna stać się terenem pracy młodszych, wykwalifikowanych pracowników społecznych.

Zjazd apeluje do rodzin polskich, by rejestrowały się u miejscowej angielskiej służby dzieciom („Children's Offices“) jako rodziny zastępcze dla dzieci polskich, które zostały bez opieki rodziców, a to w tym celu, by dzieci polskie znalazły się pod polską opieką moralną, a jednocześnie korzystały z pomocy władz brytyjskich.

Po krótkiej przerwie rozpoczęły się obrady wewnętrzne pod sprawnym przewodnictwem prezesa Soboniewskiego. Nadto do prezydium Zjazdu wybrani zostali: płk. A. Dąbrowski z Leicester, S. Kozłowski z Derby, B. Miszewski ze Slough, Leona Sielicka ze Swindon i inż. J. Żaba z Manchester. Sekretarzem Zjazdu była p. A. Moszczyńska.

Po wysłuchaniu sprawozdań ustępujących władz oraz instytucji współpracujących ze Zjednoczeniem a m.in. przewodniczącego Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego prof. R. Wajdy, przewodniczącego Rady Bibliotecznej — płk. S. Zamoyskiego, przedstawicielki Zarządu Teatru dla Dzieci i Młodzieży — p. Renkawiczowej oraz przewodniczącego Komisji rewizyjnej



p. L. Słomnickiego — Walny Zjazd udzielił Zarządowi Zjednoczenia jednoznacznie absolutorium z podziękowaniem.

W drugim dniu Zjazdu przyjęto na plenum szereg wniosków oraz dokonano wyboru nowych władz. Zgodnie z wnioskiem Komisji-Matki, której przewodniczył Z. Szadkowski — prezesem Zjednoczenia został po raz 11-ty red. P. Hęciak a do Zarządu wybrani zostali: Z. Bieńkowski, I. Buszewski, S. Kolańczyk, J. Krasnodębski, M. Leśniakowa, O. Marcinek, prof. R. Wajda, kmr. B. Wroński, Cz. Wrzesień z Leicester i red. R. Zakrzewski. Do komisji rewizyjnej: J. Czernecka, J. Kazimierski, L. Słomnicki, W. Ruszkowski i A. Rynkiewicz. Zastępcy: F. Bissinger, J. Lityński i A. Ścibor-Rylski. Nadto Zjazd uzupełnił skład Rady Bibliotecznej do której weszli: J. E. Berek, Z. Bieńkowski, M. Danilewiczowa, K. Głuchowski, T. Prokopowicz, J. Radomyski, Z. Świdziński, R. Wajda, Cz. Woyno, W. Płazak i A. Dąbrowski.

Pod przewodnictwem inż. Żaby pracowała w drugim dniu komisja ogólna, która przygotowała na plenum szereg wniosków. Podajemy dwa z nich.

#### W sprawie planów NATO:

Prasa brytyjska podała wiadomości z konferencji przedstawicieli NATO w Brukseli z grudnia 1969 roku o zamiarze użycia broni atomowych na terytorium Polski, Czechosłowacji i Niemiec Wschodnich w wypadku agresji sowieckiej skierowanej przeciwko Europie Zachodniej. Terytorium Rosji w pierwszej fazie ataku broni atomowych byłoby oszczędzone, bowiem skutki użycia broni atomowych miałyby odstraszyć Rosję, która będzie chciała uniknąć łosu Polski, Czechosłowacji i Niemiec Wschodnich.

W wypadku wprowadzenia w życie tego planu, nie właściwy napastnik, lecz narody ujarzmione przez niego za zgodą państw zachodnich skazane byłyby na zagładę z rąk tychże właśnie zachodnich mocarstw. Polska, najwierniejszy sojusznik Zachodu w okresie drugiej wojny światowej, decyzjami jałtańskimi została oddana w jarzmo sowieckie. Naród polski, pomimo doznanych zawodów, spodziewa się ze strony Zachodu rozwiązań opartych na

sprawiedliwości. Plany, według których Zachód w wojnie z Rosją oszczędzałby swego wroga kosztem obrócenia całej Polski i krajów sąsiednich w bezludną pustynię, mogą poderwać zaufanie, żywione do Zachodu przez naród polski i wszystkie narody ujarzmione przez ZSSR.

W imieniu całej społeczności polskiej w Wielkiej Brytanii, w solidarności z narodem polskim i Polaków w całym świecie, protestujemy przeciwko tym haniebnym zamierzeniom.

Gdyby NATO miało plany pokrywające się rzeczywistością z doniesieniami prasowymi, ich moralne i fizyczne skutki nie ograniczyłyby się do narodu polskiego czy czeskiego. Omawiane plany, wyzute z wszelkiej moralności, mogłyby stanowić precedens, gotujący podobny los Wielkiej Brytanii, jako europejskiemu strategicznemu przedpolu Stanów Zjednoczonych w konflikcie z Rosją. Jeżeli wiadomości o planach NATO są objawem propagandy, już ta sama propaganda jest niemoralna i merytorycznie chybiona.

Zjazd zwraca się do niepodległościowej prasy polskiej o przeprowadzenie akcji informacyjnej na temat wypowiedzi związanych z obradami NATO i całością zagadnienia.

#### W SPRAWIE 25-LECIA ZJEDNOCZENIA POLSKIEGO

„W 1971 roku Zjednoczenie Polskie w Wielkiej Brytanii obchodzić będzie 25-lecie swego istnienia. Rocznica ta jest nie tylko ważna dla Zjednoczenia Polskiego, jest ona także ważna dla organizacji społecznych, które poprzez tysiące swoich ofiarnych działaczy społecznych i przez cały okres pobytu na emigracji zawsze wypełniały swe obowiązki w służbie i dla dobra Sprawy Polskiej.

Praca ta jest nadal potrzebna i w pracy tej organizacje nie mogą ustać. I dlatego ważna jest rola, jaką mają do wypełnienia organizacje społeczne. Są one podstawą utrzymania polskości, są zapleczem dla naszych czynników politycznych, kierujących walką o odzyskanie niepodległości, a dzięki ogromnej swej różnorodności są ośrodkiem, w którym znaleźć się powinni wszyscy Polacy“.

„WALNY ZJAZD UPOWAŻNIA Zarząd do zaproszenia na 25-lecie Zjednoczenia Polskiego przedstawicieli polskich ośrodków społecznych spoza Wielkiej Brytanii. Reprezentują one od wielu lat, a czasami nawet od pokoleń niezmiernie czynne i ogromnie zasłużone środowiska polskie...“.

JÓZEF GARLIŃSKI

## POLAND, SOE and the ALLIES

„Każdy, kto chce poznać jedną z największych tragedii naszych czasów, musi przeczytać tę książkę“.

M. R. D. Foot (Sunday Times)

Cena: 35/-

Wydawca: George Allen and Unwin

Do nabycia:

w KSIĘGARNI KOMBATANCKIEJ  
20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W.7.

PO DŁUGOLETNIJ PRZERWIE  
ZNOWU NA PÓLKACH  
KSIĘGARSKICH

## DZIAŁANIA 2 KORPUSU WE WŁOSZECH

Tom I.

z przedmową  
gen. Władysława Andersa,  
pod redakcją  
plk. dypl. dr S. Biegańskiego

Str. 664.

Wykazy, indeksy, szkice.

Oprawa płócienna.

Cena: 63/-.

Koszt przesyłki 4/6.

Należy zamawiać:

w Księgarni S.P.K.

20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W.7.

## KSIĘGA DZIEJÓW

7 Pułku Ułanów Lubelskich  
im. Gen. Kazimierza Sosnkowskiego

„Książka ta jest pomnikiem wielkiej miłości żołnierzy do swego oddziału i pozostanie po nich dla prawników“.

Gen. Marian Kukiel

Do nabycia w księgarniach polskich

Cena £4.0.0 — dol.12.00

CZYTAJ

POLSKĄ

KSIĄŻKĘ!

# POKAZ TEATRU SZTUK CZYTANYCH

Warsztat teatralny grupy „Pro Arte” powtórzył ostatnio bardzo interesujący pokaz swej pracy pt. „Wieczór sztuk krajowych”, urządzony po dłuższej przerwie w swej pracy. Był to wieczór „Teatru Sztuk Czytanych” pokazany najpierw w Polskim Ośrodku Katolickim na Ealingu, a potem w „Ognisku Polskim”. Pozwolił on sporej rzeszy miłośników teatru zapoznać się z dobranym przekrojem awangardowego repertuaru polskiego i jedną ze sztuk związanych z walką Polski Podziemnej podczas Powstania Warszawskiego w 1944 r.

Od razu trzeba powiedzieć, że kierowniczką artystyczną grupy p. Olga Żeromska wybrała najbardziej właściwą odmianę podawania tekstu w teatrze sztuk czytanych. Wypada bowiem pamiętać również, że pozornie prosta forma teatru sztuk czytanych zawiera w sobie pułapki i niebezpieczne pokusy dla wykonawców i reżysera. Łatwo bowiem porwać się na reinterpretowanie głosowe lub wręcz okraszanie lektury manieryczną gestykulacją lub mimiką, zamiast całkowitego skupienia się na możliwie czystym podawaniu tekstu, tak aby pozwolić autorowi bezpośrednio przemówić do wyobraźni widza. Teatr sztuk czytanych bowiem jest jedną ze szlachetnych postaci „teatru wyobraźni”, którego inną, najbardziej rozpowszechnioną postacią jest „teatr radiowy”.

Nie sposób tu przypominać już dość długich, gdyż 14-letnich dziejów zespołu „Pro Arte”, który rozpoczął swą działalność jako próba teatru młodzieżowego. Siłą procesów biologicznych przedzielił się on w teatr mieszany średniego już pokolenia zasilanego młodszymi siłami. W zakresie doboru repertuaru jest on, niewątpliwie, jednym z najbardziej konsekwentnych zespołów. Dzięki awangardowym zainteresowaniom jego kierowniczką starał się on zawsze o utrzymanie się linii nowatorskiej — polskiej lub obcej — czy też odkrywczej w zakresie repertuaru rodzimego, klasycznego. W ten sposób dopełniał on zadania, na którego wykonanie emigracyjny teatr zawodowy zdołał poświęcić tylko nieznaczny mar-

gines swej pracy, nieraz przy tym zwodząc przyrzeczeniami swych miłośników. Wiadomo — teatr eksperymentalny, nowatorski jest na scenie emigracyjnej imprezą nieopłacalną i może być oparty tylko o czysto miłośniczy i materialnie bezinteresowny stosunek do sztuki. Takie przynajmniej panuje przekonanie i tego trzymają się wytrawni praktycy sceny emigracyjnej.

Wieczór „Pro Arte” zagajony był krótkim rysem dziejów jego warsztatu teatralnego, wygłoszonym przez p. L. Kowalską, uczestniczkę niejednego zespołu młodzieżowego lub teatru dla młodzieży. Tekst ten był może jedynym momentem przeafektowanym w wyrazie, ale pożytecznym informacyjnie, podanym czysto, choć bez dostatecznego wykorzystania siły głosu. Poza tym odczytano fragmenty sztuk: Jerzego Andrzejewskiego (ur. 1909) „Ciemności kryją ziemię” (Śmierć Torquemady), Jerzego Broszkiewicza (ur. 1922) „Imiona Władzy” (Scena więzienna) i „Karol” Sławomira Mrożka (ur. 1930). Sztuki te powstały przeważnie w bezpośrednim okresie „popaździernikowym”.

Odczytane urywki pozwoliły słuchaczom przekonać się, że polski teatr nowatorski, operujący obficie symbolem, aluzją, transpozycją i kto wie czym jeszcze, nie kończy się na Mrożku, choć on jest jego najwybitniejszym przedstawicielem. Cóż, kiedy i on, siłą rzeczy i procesów politycznych, stał się autorem emigracyjnym, jak stał się nim przedwcześnie zmarły Marek Hłasko (1934-69).

Wieczór zamknięty został pod znakiem „Walczącej Warszawy” odczytaniem pierwszego aktu sztuki Haliny Auderskiej (ur. 1904) „Dopóki żyjemy”. Nie z winy organizatorów wieczoru był to artystycznie najslabszy punkt programu, autorka bowiem nie dała sobie rady z ujęciem sytuacji, samej w sobie bardzo dramatycznej, w odpowiednio interesującą formę sceniczną. Nie ona pierwsza wyszczerbiła sobie zęby autorskie na tak trudnym wątku. Podobny był bowiem los Herminii Naglerowej (1892-1957) w „Tu jest Polska” lub Edwar-

da Chudzyńskiego (ur. 1921) w „Podwale 7”, czyli w sztukach o podobnym czy zbliżonym temacie. Wszędzie idzie bowiem o sytuacje sceniczne, które „grają” swym ładunkiem ... epickim.

Niemniej wykończone w szczegółach i wyrównane wykonanie wszystkich sztuk jest niewątpliwie dużym sukcesem całego zespołu, który pokwitować należy wyliczeniem całej listy jego uczestników: B. Doliński, Nora Dreling, W. Dybowski, B. Kozerski, B. Łastowski, S. Michałowska, S. Michałowski, Z. Miłoszewski, H. Pollakówna, G. Rakowiczowa, I. Różycka, S. Smolińska, Zosia Treszkówna, O. Żeromska.

Kierując się najwidoczniej względami osobistego sentymentu i dawnego koleżeństwa Olga Żeromska wstawiła do programu recytacje przez siebie czterech utworów wybitnego poety Krzysztofa Baczyńskiego (1921-1944), który zginął w pierwszych dniach powstania Warszawskiego. I tu recytatorka wykazała znaczne uszlachetnienie sposobu podawania poezji mimo dodatkowej trudności związanej z opanowaniem ogarniającego ją wzruszenia. Nie może być dla recenzenta większej satysfakcji, jak móc po latach stwierdzić postępy w pracy oddanego swym zamiłowaniom zespołu i osiągnięcia przez niego wyników zasługujących na szczerą pochlask, jakim nagradzała widownia poszczególne części programu.

Teatr młodzieżowy i teatr poza-zawodowy spoczywa obecnie w swym ośrodku londyńskim głównie w rękach czterech kobiet: Jadwigi Otwinowskiej, Reginy Kowalewskiej, Barbary Reńskiej i Olgi Żeromskiej. Przy spełnianiu swych zadań one się wzajemnie uzupełniają. Jedna rozbudza zrozumienie i zamiłowanie do teatru i kieruje opanowaniem strony językowej, druga daje sposobność do otrząśnięcia się z rzeczywistą sceną teatralną, trzecia daje głębokie wejście w istotę sztuki scenicznej, poza opanowaniem warsztatu aktorskiego, a czwarta dopełnia tych zadań zapoznając z najnowszymi zdobyczami repertuaru.



# JESZCZE SIĘ TAKI NIE URODZIŁ...

**S**Ą PEWNE wydarzenia w świecie emigracyjnym, które z natury rzeczy wywołują silny odźwięk. Sztuką umiejętności towarzyskiej jest wiedzieć, o czym się prawdopodobnie będzie rozmawiać na zebraniu towarzyskim i odpowiednio się do tego przygotować. W przeciwnym razie człowiek wyrabia sobie opinię takiego, co nie interesuje się zagadnieniami polskimi, albo — co gorsza — po prostu zwykłego tępaka. Jeśli jednak chodziło o marcowe zebranie u Sewilskich, to chyba nikt nie mógł mieć wątpliwości co do tego, jaki będzie centralny temat rozmów. Jasna rzecz, że nie innego, jak wystawa „Tysiąc Lat Sztuki w Polsce“ w Królewskiej Akademii Malarstwa w Londynie.

Oczywiście, przygotowaliśmy się do tego oboje z żoną należycie: byliśmy na wystawie dwa razy, przeczytaliśmy pożyczony od dra Dojdy katalog starannie, zajrzeliśmy również dla odświeżenia w pamięci dat i nazwisk do odpowiednich encyklopedii i historii sztuki. Tak uzbrojeni, podążyliśmy do Sewilskich.

Jak zwykle, rozmowa najpierw nie kleiła się. Opowiadano sobie wzajemnie o rozmaitych drobnych wydarzeniach domowych, żalono się na bestialstwo „żółtego niebezpieczeństwa“, tzw. Traffic Wardens, czyli służby kontroli parkingu samochodów, wyrażano sprzeczne sądy o ostatniej sztuce w Ognisku: „Apetyt na czereśnie“, gdy wreszcie gospodarz, jak zwykle baczny na wszystko, rzucił nagle:

— Naturalnie, widzieli państwo wystawę sztuki polskiej w Akademii? Co państwo o niej sądzą?

Zebrani, jak konie, wietrzące obrok, równocześnie poderwali się do konwersacyjnego galopu. Przez chwilę trudno się było zorientować, kto co mówi. W powietrzu krzyżowały się zdania: „Interesujące“ — „Znakomite“ — „Beznadziejne“ — „Dlaczego nie przywieźli Bitwy pod Grunwaldem“ — „Mogliby coś ciekawszego znaleźć“ — „Moi przyjaciele Anglicy oświadczyli...“ itd. Powoli jednak rozmowa przybrała

charakter bardziej systematyczny — a ściślej mówiąc, major Miecz-Szabliński, dysponujący najsilniejszym głosem, zagłuszył w końcu opozycję.

— Moim zdaniem — grzmiał major — to był ukartowany trik reżymowy. Dlaczego nie było „Batorego pod Pskowem“ albo „Targowicy“? Dlaczego nie było Panoramy Racławickiej? Pokazano tylko, żeśmy się bili z Turkami — a i to bez „Sobieskiego pod Wiedniem“.

— „Sobieski“ jest w Watykanie — wtrąciłem nieśmiało. — Decyzja nie zależałaby od organizatorów.

Major zmiażdżył mnie spojrzeniem.

— Pan zawsze znajdzie dla wszystkiego wytłumaczenie, panie Franku — rzekł z nieprzychylnym naciskiem na słowie „wszystkiego“ — ale ja uważam, że powinniśmy umieć spojrzeć na wszystko stu procentowo, obiektywnie. Wystawa właściwie pokazała, że w Polsce sztuką zajmowali się tylko cudzoziemcy.

— No, niezupełnie, panie majorze — wystąpił pojednawczo inżynier Calówka — tu już pan trochę przesadził.

Major poczerwieniał.

— Przesadziłem? Proszę bardzo — wyciągnął z kieszeni jakąś kartkę — dla ciekawości zanotowałem tutaj nazwiska autorów wielu obrazów: Schulz, Bacciarelli, Grassi, Belotto, Vogel, Norblin de la Gourdaine, Gottlieb, Weiss — to ma być wystawa sztuki polskiej? Nie, proszę państwa! Pytam, dlaczego organizatorzy przywieźli właśnie te ekspozyty, a zabrakło miejsca dla Matejki, dla Chełmońskiego, dla Gierzyńskich, dla Wyspiańskiego, których zobaczyliśmy tylko w jednym, czy dwóch obrazach? Nic innego, jak tylko świadome obniżanie rodzimego wkładu w sztukę..

Major przerwał i jednym haustem wychylił kieliszek, podsunięty mu przez gospodarza.

— Coś w tym jest, co pan mówi — podtrzymała go Piszczkowska. Nie wiem, czy państwo zauważyli,

jaki brzydki jest Jan III na tym dużym portrecie na środku sali. Albo, na przykład, Anna Jagiellonka — po prostu okropna stara baba. Czy już naprawdę nie można było znaleźć czegoś ładniejszego??

— No, wie pani — z uśmiechem zauważył Barceloński — ostatecznie Jan III nie był znowu taki śliczny, a co do Anny Jagiellonki, to przecież Henryk Walezy uciekł do Francji kto wie, czy nie przed nią?

— Co pan też opowiada! — oburzyła się Calówkowa — nawet zresztą, gdyby tak było, to można by chyba pokazać kogo innego. Na przykład królową Jadwigę, albo — bo ja wiem? — może panią Walewską. Obie były przecież bardzo reprezentacyjne kobiety.

— Mam wrażenie — wtrąciłem — że organizatorom chodziło nie tyle o urodę modelki, ile o wartość portretu. A przyzna pani, że portret Anny Jagiellonki jest znakomity.

— Znakomity! Znakomity! — powtórzyła z przekąsem Calówkowa. Co w tym znakomitego Stara, brzydka baba. Każdy to potrafi wymalować. Ba, żeby ją przedstawił, jako ładną, młodą kobietę — to byłaby prawdziwa sztuka.

— Nie uważa pani, że ważniejsza jest prawda historyczna od idealizacji dla celów ubocznych — zapytał Barceloński — ostatecznie, nawet jeżeli pominiemy wartość czysto artystyczną portretu Kobera, jest to portret współczesny pozującemu. Anna Jagiellonka tak naprawdę wyklądała.

— Ależ z pana naiwniak! — parsknęła z politowaniem Calówkowa. Pan myśli, że kobiecie chodzi o to, żeby ją wszyscy widzieli, tak jak naprawdę wygląda? To pocóż my się tak dla was męczymy ze szminkami, tuszem i całą resztą?

Wśród pań podniósł się przyjazny szmer aprobaty. Ale Farnezyjski, który dotąd nie zabierał głosu w dyskusji, nagle wystąpił w szranki.

— Ja, szczerze mówiąc, byłem zupełnie oburzony, tak, o-bu-rzo-ny, kiedy zobaczyłem tę wystawę. Bo proszę państwa, wchodzi się, i co

nam pokazują na wstępie? Kilka starych, obłupanych rzeźb, jak ze śmietnika. A już z Witem Stwozszem, to po prostu skandal. Wszyscy wiemy, jaki wspaniały jest jego ołtarz w kościele Mariackim w Krakowie, a tu pokazali nam dwie połamane figury, z poobrywanymi rękami i nogami — i to ma być przykład sztuki tego wielkiego artysty?

— No, wie pan! — nie wytrzymałem — może chciałby pan jeszcze, żeby przywieźli cały kościół Mariacki? Przecież transport takiego ołtarza, to olbrzymi koszt i kolosalne ryzyko!

— To już lepiej było nie przywozić nic, niż pokazywać takie resztki z wyprzedzący — nie ustępował Farnezyjski. Albo na przykład, te dwie zbroje — czy naprawdę nie ma więcej zbroi w Polsce? Przecież w rezultacie wychodzimy na jakichś nędzarzy: trochę starych kamieni, parę drewnianych rzeźb, jakby nas na brąz nie było stać, 5 szabel na krzyż, dwie zbroje, parę starych dywanów, jak spod łóżka wyciągniętych — co to jest? Kpiny, po prostu kpiny.

— Albo te portrety, powyciągane z trumien! — włączyła się Celtycka — tak jakby nie można było pozdejmować ze ścian w salonach. Co o nas Anglicy pomyśla? I te jakieś stare, zakurzone kieliszki i flaszki, albo poobijane komody z Pociejowa — wstyd. Nic innego nie można powiedzieć.

Szykowałem się już do wystąpienia w obronie portretów trumiennych, kiedy zauważyłem, że żona dyskretnie przybliżyła się do mnie. Wiedząc z doświadczenia, że tego rodzaju zbliżenia zwiastują kopnięcie w kostkę, służące do poskramiania moich zapalów dyskusyjnych, wycofałem się ku kredensowi z trumienkami, pozostawiając Barcelońskiemu obronę eksponatów wystawy.

— Ależ, proszę pani — zapalił się Barceloński — przecież właśnie te portrety trumienne obudziły wśród krytyki tutejszej powszechne zainteresowanie. To przecież unikat!

— Właśnie to mówię — podtrzymała swoją tezę Celtycka — nikt inny by takich rzeczy z trumien nie wyciągał. Wstyd i obraza Boska!

Gospodarz, który dotychczas nie mieszał się do rozmowy, spełniwszy swój obowiązek zręcznym doбором

interesującego wszystkich tematu, zdecydował się na interwencję.

— Jeżeli o mnie chodzi — zauważył skromnie — to przede wszystkim nie przywoziłbym tych nowoczesnych bohomasów, na których nie wiadomo, o co w ogóle chodzi.

Posunięcie było zręczne. Dawno już zauważyłem, że sztuka współczesna jest ulubionym tematem wypowiedzi zwłaszcza tych ludzi, którzy w ogóle o sztuce zielonego pojęcia nie mają.

— To w ogóle kompromitujące — zapienił się Farnezyjski. — Pięcioletnie dziecko namalowałoby z większym sensem. I takie rzeczy się przywozi, jako przykłady polskiej sztuki.

Widząc, że żona znajduje się daleko, zaryzykowałem.

— Abstrakcja jest obecnie niezmiernie modna na całym świecie — powiedziałem — czy nie sądzi pan, że gdyby nie pokazano na wystawie tych właśnie dzieł współczesnych, to cudzoziemcy mogliby wyciągnąć wnioski, że polskie malarstwo jest zacofane i tkwi jeszcze ciągle w dziewiętnastym wieku?

— Ja panu powiem — z głębokim przekonaniem o własnej słuszności oświadczył major Miecz-Szabliński — co by powiedzieli Anglicy, gdyby nie widzieli na naszej wystawie tych bohomasów.

Zapadła cisza. Wszyscy z napięciem czekali na wiekopomne słowa majora.

— Powiedzieliby, że mamy dobrze w głowie — Szabliński potoczył wokół triumfalnym spojrzeniem — i tylko mieliby dla nas szacunek. Ot, co!

— Bravo, panie majorze! — ucieszyła się Piszczkowska — ma pan sto procent racji. Albo, na przykład, te nowoczesne tkaniny — co to za sens? Ani się tym przykryć, ani położyć na łóżku. I jak to uprać? W maszynie się na nie poszarpie.

— Przecież to czysta dekoracja — z rozpaczem w głosie bronił eksponatów Barceloński — te tkaniny służą tylko i wyłącznie do dekoracji ścian.

— Nie upadłam jeszcze na głowę — chłodno stwierdziła Farnezyjska — żebym takie coś miała u siebie powiesić w pokoju.

Erywański, który dotąd zajmo-

wał się spożywaniem doskonałych kanapek i wypróżnianiem w regularnych odstępach czasu kieliszka, wkroczył na arenę, machając z podniecenia trzymanym w rękę widelcem od sałatki.

— Proszę państwa! Słucham tej interesującej dyskusji od początku i — poza drobną wzmianką ze strony majora — nie słyszałem, aby kto z państwa powiedział coś na temat największego braku tej wystawy. Braku, który jej pretensje do reprezentowania sztuki polskiej robi właściwie pośmiewiskiem!

Znowu zapadła cisza, tyle było w głosie Erywańskiego cierpienia..

— Proszę państwa! — ciągnął dalej, wznosząc w górę widelec, jak nigdyś Chrobry Szczerbiec — kto jest bez kwestii najznakomitszym malarzem polskim? Matejko! Ile obrazów Matejki było na wystawie? Jeden. Wystarczy. Skończyłem.

I Erywański powrócił do sałatki. W pokoju odezwały się brawa. — Wszyscy gratulowali mówcy, przytakując jego zdaniu. Mnie, na nie szczęście, poniosło.

— Nie przeczę — powiedziałem ostrożnie — że dla Polaków Matejko zajmuje w malarstwie naszym pozycję wyjątkową.

— To całe szczęście — z gryzącą ironią rzucił Erywański — dla Matejki, naturalnie.

Podrażniony śmiechem, jak towarzyszył jego słowom, brnąłem dalej:

— To nie znaczy jednak, aby cudzoziemcy podzielali naszą o nim opinię. Dla nich Matejko jest malarzem — no, powiedzmy, drugorzędnym.

Ciszę, która nastąpiła po mych słowach, można określić tylko, jako grobową. Erywański z wrażenia upuścił widelec.

— Co pan powiedział? — rzekł groźnie major, podchodząc do mnie. — Żarty też mają swoje granice. Są pewne rzeczy, z których żartowanie świadczy o braku patriotyzmu.

Na szczęście, gospodarz zręcznie załagodził sytuację. Ale do końca zebrania nastrój był popsuty i wszyscy odsuwali się ode mnie, jak od zapowietrzonego. Już przy wyjściu usłyszałem, jak Sewilska mówiła do mojej żony:



# Notatnik kulturalny

**WALNE ZEBRANIE ZWIĄZKU PISARZY**, które odbyło się w Londynie m.in. uchwaliło kwotę £25 — na fundusz wydawniczy Księgi Kongresu Współczesnej Nauki i Kultury Polskiej na Obczyźnie, który odbędzie się w Londynie i N. Yorku we wrześniu br. Przyznano też tytuł członka honorowego prof. dr W. Güntherowi, wielokrotnemu wiceprezesa związku. Tytuł członka zasłużonego przyznano p. K. F. Vincenzowi ze Szwajcarii za zasługi nad rozpowszechnianiem książki polskiej. Poza sprawami organizacyjnymi, wysłuchano referatu dra S. Legeżyńskiego pt. „Rok literacki 1969”. Zalecono też uczczenie obchodem 50-lecia działalności pisarskiej M. Lisiewicza. Nowy Zarząd ukonstytuował się w następującym składzie: T. Lisiewicz — prezes, W. Günther i Z. Szyszko-Bohusz — wiceprezesa, P. Borkowski — skarbnik, prace sekretariatu rozłożono na członków zarządu: W. Budzyński, K. Iranek-Osmecki, W. A. Lasocki, S. Legeżyński, K. Ostrowski, K. Rowiński i I. Wieniewski.

**ODCZYTY NA TEMATY LITERACKIE** odbyły się z różnych okazji. O zmarłym niedawno pisarzu Jerzym Stempowskim (pseud.: Paweł Hostowiec) mówił na wieczorze Związku Pisarzy red. W. Wohnout. W ramach wie-

czorów „Kontynentów“ odbył się wieczór poetycki Andrzeja Buszy. Urządzony został też wieczór Zespołu „Konturów“ nt. „Satanizm, degeneracja, ignorancja, czy zła wola?“

Przyjaciele zmarłego redaktora „Wiadomości“ zorganizowali wieczór pt. „Pożegnanie z Grydzewskim“. Temu wieczorowi wspomnień przewodniczył amb. E. Raczyński, który zagał zebrał. Przemawiali poza tym pp. S. Baliński, S. Kossowska, J. Sakowski, przemówienie M. Hemara odczytał E. Chudzyński, i na zakończenie zabrał głos obecny redaktor pisma M. Chmielowiec, który zapowiedział w maju specjalny numer „Wiadomości“ poświęcony pamięci M. Grydzewskiego.

**PROF. JÓZEF BUJNOWSKI** mówił w ramach „Spotkań Veritasowych“ na temat „Motywów metafizyczno-religijnych w polskiej liryce krajowej“. Prelegent przeszedł całą gamę tych motywów od motywu Matki Boskiej, Madonny, Chrystusa Frasobliwego, świętych i innych motywów z folkloru o charakterze pogańskim. Wygłoszony w zeszłym roku wykład na Uniwersytecie w Goettyndze w języku niemieckim pt. „Nowe struktury we współczesnej poezji polskiej“ ukazał się w druku w kwartalniku slawistycznym „Die Welt der Slaven“, a

obecnie prof. Bujnowski zaproszony został na stanowisko gościnnego profesora (Visiting Professor) na okres półtora roku do Instytutu Sławiastyki w Amsterdamie.

„**CZTERY PORY ROKU**“ **HALIMY NAŁĘCZ**, taki jest tytuł nowej wystawy tej niezwykle aktywnej artystki-malarki. Wystawa urządzona jest we własnej Drjan Gallery i obejmuje twórczość za ostatnie dwa lata. Składa się na nią 30 prac stanowiących rozwinięcie i pogłębienie dotychczasowej tematyki kwiatowej. Na „wernisarz“ przybyli liczni widzowie z kół artystycznych prasowych i miłośników plastyki. Gościnnie poczęstowani zostali także szklanką szampana i katalogiem pamiątkowym wystawy, który służyć może za wzór tego rodzaju wydawnictwa. Zawiera wykaz eksponatów, pełną bibliografię z działalnością artystyczną artystki oraz poza czarno-białymi reprodukcjami obrazów również jedną kolorową reprodukcję.

**STUDIUM MALARSTWA SZTALUGOWEGO** urządziło w Polskiej YMCA swą doroczną wystawę, której otwarciu dokonali prof. M. Bohusz-Szyszko i gen. Z. Bohusz-Szyszko.

W Polskim Ośrodku Katolickim na Ealingu odbyła się wystawa obrazów akwarelowych i olejnych Józefa Fary. Małarką polską Amelią Kuleszą wzięła udział w dorocznej wystawie Królewskiego Towarzystwa Miniaturzystów, wystawiając 5 prac. Ostatnio została ona przyjęta na członka tego towarzystwa.

**PROF. JAN ROŚTOWSKI**, b. dziekan wydziału lekarskiego w Edynburgu poświęcił się całkowicie sztuce rzeźbiarskiej, osiągając doskonałe wyniki. Ostatnio ofiarował „Pietę“ swego dłuta kościołowi w Burford.

**ZWIĄZEK POLSKICH ARTYSTÓW FOTOGRAFIKÓW** z Warszawy urządził wystawę ok. 100 prac 50 swych członków w salach Polskiej YMCA w Londynie. Wystawę otworzył prezes londyńskiego Stowarzyszenia Fotografików Polskich p. W. Marynowicz, wskazując, że jest to 8 wystawa fotografii krajowej urządzona w ciągu 19 lat istnienia Stowarzyszenia londyńskiego. Ostatnia wystawa świadczy o wielkich postępach, jakie pod względem technicznym i artystycznym poczyniła fotografia polska, w okresie powojennym.

J. Ostr.

## JESZCZE SIĘ TAKI NIE URODZIŁ...

— Wiesz, Jadziu, że twój mąż czasem przekracza granice dobrego wychowania. Ekscentryczność ekscentrycznością, ale nazwać autora „Kazania Skargi“ drugorzędym malarzem — to już za wiele!

Na ulicy żona przypuściła gwałtowny szturm.

— Czy ty naprawdę nie możesz przestać żartować? Ja ciebie znam i wiem, że ty takich powiedzeń nie bierzesz na serio, ale inni biorą je poważnie.

— Ależ przysięgam ci, że zupełnie na serio uważam, że w Polsce było wielu malarzy lepszych od Matejki. I to nie tylko moje zdanie. Już w latach dwudziestych na przykład Witkiewicz pisał to samo.

— Witkiewicz? — podejrzliwie spytała żona. — Czy nie ten sam, którego cztery potworne bohomyzy przywieziono na tę twoją wystawę?

— Jeżeli mówisz o czterech bardzo ciekawych płótnach, przed któ-

rzymi bardzo ostentacyjnie wzruszałaś ramionami, to ten sam.

Ku mojemu zdziwieniu żona zamiast oburzyć się, zaczęła się głośno śmiać.

— No widzisz — wyksztusiła na koniec — ty nigdy nie potrafisz być poważny. Ja już się do tego przyzwyczaiłam, ale skąd inni mają o tym wiedzieć?

Im więcej usilnie próbowałam ją przekonać, że mówię serio, tym bardziej się śmiała. Wobec tego zrezygnowałam, ale czuję się nieswojo. Przygotowany byłem na ostrą scysję i demonstracyjne milczenie żony przez szereg dni, a tu nagle okazuje się po raz pierwszy, że nawet ona nie bierze mnie poważnie. Czuję się od kilku tygodni, jak pozbawiony busoli życiowej.

A może to po prostu oznaka, że się w końcu zaczynam się starzeć?

Wojciech Stefański

# Śp. Stefan Borkowski

**M**ŁODZIENCZE marzenia o sławionym w tytułach piosenek wierzonym koniku i szabli ułańskiej — spełniły się szybko w życiu rotmistrza Stefana Dunin-Borkowskiego, zmarłego 20 lutego 1970 r. Miał tylko lat 16, (ur. 21 lipca 1904), gdy z rodzinnego Lublina, jako harcerz-ochotnik ruszył na wojaczkę do Jazdy pod dowództwem majora Jaworskiego. W następnym roku walczył w powstaniu śląskim w szeregach 2 pułku lubelskiego. Wraca jednak do najmilszej sercu kawalerii w 21 pułku Ułanów Nadwiślańskich, następnie odbywa podchorążówkę przy IV Dywizji Kawalerii we Lwowie.

Studiuje prawo i nauki polityczne, pracuje później w administracji państwowej dochodząc stopniowo do stanowiska starosty w Sochaczewie. W „cywilu“ wykazuje nieprzeciętne zdolności organizacyjne, takt, umiejętność zażegnania sporów, godzenia rozbieżnych poglądów i dążeń różnych grup społecznych, a nade wszystko wyrozumiałość i życzliwość dla wszystkich. Jest ceniony i lubiany.

Spokojny rytm pracy przerywa wojna. Elegancki starosta sochaczewski zgolił już małą pielęgnowaną bródkę i od pierwszej chwili działa w konspiracji. Najpierw w Związku Walki Zbrojnej, później w A.K. pod pseudonimem „Wilk“. Cechuje go męstwo i brawura, a jednocześnie rzadkie przy tamtych cechach zalety: opanowanie i rozwaga. Otrzymuje postępowanie szefa bezpieczeństwa Komendy Miasta Warszawy, a w czasie Powstania pełni służbę w Komendzie Okręgu Warszawskiego A.K.

A więc służba sztabowa, ale w ja-

kich warunkach! W obłożonym, ciężko bombardowanym mieście — „Wilk“ pracował niezamordowanie i spokojnie. Przeżył i taki moment, kiedy tylko przytomność umysłu i ryzykowny skok z wysoko położonego okna ocaliły mu życie, gdy do domu wtargnęło gestapo.

Upadek powstania, niewola, obóz jeniecki w Bergen-Belsen, później Gross-Rosen i straszliwy marsz 700 kilometrów przez północne Niemcy do Sandbostel, gdy klęska Niemiec była już nieuchronna i pod bagnętami wśród ostrej zimy, o głodzie odbywała się ewakuacja. Po latach jeszcze wracały wspomnienia z tych ciężkich chwil.

W latach 1945-1947 Stefan Borkowski pełni służbę w grupie oficerów łącznikowych przy Brytyjskiej Armii Renu zdobywając uznanie i wyróżnienie pochwalne ze strony aliantów.

Po przybyciu do W. Brytanii pracuje w jednym z licznych wówczas obozów rodzinnych jako pracownik oświatowy, a jednocześnie doradca i opiekun społeczny. W Londynie na długi czas zatrzymała go, nazwana tak żartobliwie „srebrna brygada“. Wraz z wielu innymi oficerami „Spicbródka“ — ten przydomek przylgnął do niego — czyścił srebra stołowe w hotelu Dorchester pracując w pogodzie ducha, z doskonałym poczuciem humoru, popularny i ogólnie lubiany.

Prawnik z wykształcenia był wielkim miłośnikiem historii i znawcą literatury. Ogromna „fotograficzna“ pamięć pozwalała mu recytować mnóstwo utworów poetyckich i fragmentów prozy. Ze znanostwem obracał się także i w innych dziedzinach kultury,

zwłaszcza malarstwa i architektury. Czytał ciągle, starannie dobierając lekturę, polecając rzeczy godne uwagi przyjaciółom i kolegom. Mistrz pogodnej konwersacji okraszanej dowcipem, który zachował nawet wtedy, gdy już trawiła go ciężka, nieuleczalna choroba — miał niewyczerpany zapas anegdot i kawałów na wszystkie okazje i okoliczności.

Ostatnie lata spędził jako sekretarz Komitetu Rozdzielczego Pomocy Społecznej. Ciężka to była, nieraz niewdzięczna praca. Ale pełnił ją z ogromnym poczuciem obowiązku, łamiąc się z cierpieniem dosłownie do ostatniego dnia życia.

Życzliwy, uprzejmy, „galant“ w dawnym dobrym stylu wobec kobiet, pozyskał wielu oddanych przyjaciół. W gromadzie koleżeńkiej podtrzymywał, tak bardzo pomocną w życiu, atmosferę życia rodzinnego, nigdy nie zapomniał o imieninach, skromnych dowodach pamięci, do których należały, niekiedy żartobliwe, rymowane powinszowania i toasty jego własnego pióra lub zwerbowanych kolegów z tak zwanego przez niego „Klubu“ Łyczaków (Lwów) i Czerniaków (Warszawa) z którymi dobrotliwie przekomarzał się na tematy regionalne. Ale i postronni chętnie przysiadali się i słuchali jak krytykował „centusiów“ i „Awstryjców“, a chwalił ojcyste lubelskie strony. Ale ponad wszystkie ziemie i wszystkie miasta kochał i wielił Warszawę. Nie mogąc wrócić — tęsknił i wspominał. Słuchał z ogromnym ożywieniem wrażeń tych co byli niedawno w Polsce i widzieli odbudowaną stolicę. Spoczną w niej teraz prochy wiernego żołnierza i bojownika o wolność Ojczyzny od najwcześniejszej młodości.

L. B.

**Adres WYDAWNICTWA:** PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji.  
**Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na:** 171, Battersea Church Road, London, S.W. 11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). **Adres ADMINISTRACJI:** „Gryf“ — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT 1445. Oddział Redakcji we FRANCJI: „Syrena — 20 rue Legendre, 75-Paris, 17-e. Tel. 924 0045, C/C/P/Ass. E.A.C.P. en France, 6365-22 Centre Paris oraz na pld. Francję — S. Horodyski, „Le Pavillon“, 1 rue de la Chèvre d'Or, 13 — Salon de Provence; w BELGII: J. Korab Brzozowska-Csáky 19, rue Amédée Lynen, apt. 57, Bruxelles 3, konto poczt. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/1; w SZWAJCARII: S. J. Karolus, 10 rue Ingold, CH-2500, Biel-Bienne 4; w SZWECJI: Polski Komitet Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; w WŁOSZECH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w ARGENTYNI: „Libreria Polaca“, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.“, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf“, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bienkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, L. Żukowski, 5347 Chene St., Detroit, 11, Mich. oraz ogniwa S. P. K. w POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 4/-. doł. 0.50, Fr. 2.70. PRENUMERATA — kwartalnie: £0.12.0, doł. 2.00, Fr. 8.00; półrocznie: £1.4.0, doł. 4.00, Fr. 16.00; rocznie: £2.8.0, doł. 8.00, Fr. 32.00 — według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy. Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.



fakt iż jesteśmy w tej chwili w Londynie a nie w Warszawie dowodzi, że Polska jest pod okupacją (przez którą rozumiem wojskową okupację). P. Mischak stwierdził, że nie jest to żaden w tym kierunku dowód, bo np. Jugosławia z pewnością nie jest pod okupacją, a jednak emigranci jugosłowiańscy walczą o wolność swego kraju zagranicą. Ten przykład wzmacnia tezę mego artykułu.

Jeszcze jeden argument działa w tym samym kierunku. Niektórzy publicyści piszą, że Czechosłowacja była pod sowiecką okupacją przed 20 sierpnia 1958, zaś kiedy indziej ci sami publicyści nazywają inwazję sierpniową — okupowaniem tego kraju. Otóż to nie wydaje się rzeczą logiczną; nie można przecież okupować tego, co już jest okupowane, tak jak nie można zjeść tego, co już przedtem zostało zjedzone. Coś tu nie „kłapuje”, a wyjaśnić rzecz można właśnie przez rozróżnianie dwóch rodzajów okupacji, co właśnie proponowałem w swoim artykule.

Podkreślając niegodzenie się z tezą prof. Stahla w sprawie „czy Polska jest pod okupacją?” pragnę dodać że, jestem daleki od kwestionowania jego kompetencji sowietologicznej.

Łączę wyrazy poważania

St. Zarzewski

## ODCHYLENIA MARKSISTOWSKIE

Szanowny Panie Redaktorze,

Zwrócono moją uwagę na fakt, że chochlik (drukarski, korektorski lub redakcyjny, a może wszystkie trzy razem) wprowadził do mego artykułu o filozofii neo-marksyistów polskich z numeru lutowego (str. 28—29), kilka niefortunnych zmian.

Sam tytuł artykułu winien był brzmieć inaczej niż tytuł recenzowanej książki ze względów podanych w samej recenzji. Poza tym „conceptual framework” nie proponowano tłumaczyć jako „System przyjęć”, lecz jako „system pojęć”. Wreszcie paczy myśl napisanie łącznie „naprawdę” w cytacie z książki Skolimowskiego, gdyż chodzi tam o „monopol na drukowanie, na prawdę”.

Z drugiej strony autor sam nie jest bez winy i tak nabruździł mu „chochlik autorski”, że nie potrafi wytłumaczyć skąd się wziął w jego maszynopiśmie „Krzyżanowski” zamiast „Krzywickiego” tam, gdzie cytowany jest Z. A. Jordan. Czysta aberacja!

Stąd wniosek, że przy pisaniu, jak i przy drukowaniu, trzeba słuchać przestrogi zawartej w tytule sąsiedniego artykułu ze strony 39, a mianowicie „Z Mar/k/sem lepiej ostrożnie”!

Łączę serdeczne pozdrowienia

J. Ostrowski, M.A.

Londyn.

# OGŁOSZENIE

Zamieszczone w „ORLE BIAŁYM”,  
czytają Polacy  
w 25 krajach świata.

## W 50-LECIE POWSTANIA WYŻSZEJ SZKOŁY WOJENNEJ

Praca zbiorowa pod redakcją płk. dypl. W. Ciechanowicza,  
wydana nakł. oficerów dypl. na obczyźnie.

Cz. I — tło ogólne, przynosi prace generałów: S. Kopańskiego, W. Stachewicza, K. Sosnkowskiego i Lityńskiego;

Cz. II — omawia rozwój i pracę Wyższej Szkoły Wojennej, Wyższej Szkoły Intendentury, Wyższej Szkoły Lotniczej i Wyższej Szkoły Inżynierii w latach 1919—1939;

Cz. III — daje przegląd zakresu i metody studiów oraz imienny wykaz wszystkich słuchaczy do r. 1939;

Cz. IV — omawia kursy Wyższej Szkoły Wojennej i Wyższej Szkoły Lotniczej na obczyźnie do r. 1946.

Książka jest cenną pamiątką dla wszystkich, którzy byli związani z wyższym szkolnictwem wojskowym i zawiera cenne informacje o władzach wojskowych w Polsce przed drugą wojną światową

Cena £3.10.0 lub dol. 9.00 plus porto

Do nabycia we wszystkich księgarniach polskich w Londynie oraz w Instytucie Polskim i Muzeum im. Gen. Sikorskiego (skład główny)

## K R Z Y Ż Ó W K A N r 125/70

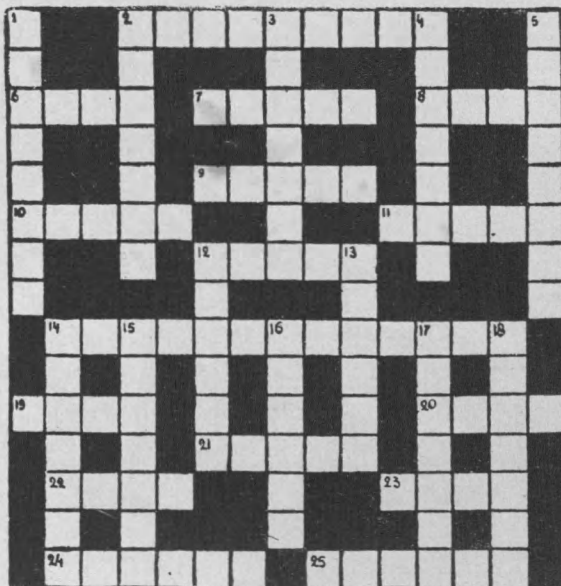
### ZNACZENIE WYRAZÓW

**Poziome:** 2) święto Odkupienia; 6) i 8) chwała Panu; 7) punkt centralny; 9) mami dziecko; 19) grammatyczne nie pasują do maszyny; 11) podnieta do czynu; 12) kasha pustynna; 14) przy okazji życzenia; 19) i 20) jeden z trzydziestu; 21) w głowie, ale nawet u lysego go nie widać?; 22) rośliny morskie (wspak); 23) tam de Gaulle widział kraniec Europy (wspak), 24) bitwa pod Siedlcami w Powstaniu Listopadowym; 25) zapędy (wspak).

**Pionowe:** 1) bezbarwne siostry?; 2) z niej ozdoba na stół wielkanocny; 3) ani biała ani czarna i smakuje; 4) głośny dziś temat dyskusji; 5) dla jednego żabka dla drugiego babka; 12) nie może być brząkającą miedzią — powiedział święty Paweł; 13) szlak (wspak); 14) autor „Georgik”; 15) niejedna ona jest na freskach Kaplicy Sykstyńskiej; 16) albo biały albo omszały; 17) zgiełk; 18) wódka go dodaje.

### ROZWIĄZANIE KRZŻÓWKI N r 124/70

**Poziome:** 1) i 5) Konstantyn, 3) i 16) spokoj, 8) ideały, 10) rutyna (wspak), 11)



Bizet, 12) Zaczarowane Koło, 15) i 18) rekonesans, 20) i 22) fantazja, 21) oliwa, 25) koneser, 26) lirnicy, 27) słomiany ogień.

**Pionowe:** 1) kpiarz, 2) i 6) niestety, 4) podziw, 7) Oberon (wspak), 9) śruby (wspak), 19) Ateny, 13) Stwoszcz (wspak), 14) Kossak, 15) refleks, 16) Kalwaria, 17) jowialny, 19) Staszyc, 23) mysz (wspak), 24) próg.

2101



**WIECZORY  
POD  
DĘBEM**

**Zygmunt  
Nowakowski**

*Cena: £2.2.0* — KSIĘGARNIA S.P.K., 20, QUEENS GATE TERRACE, LONDON, S.W. 7.